

MARCIN B. BRIKEN
ŚWIAT
ZA PIĘĆ LAT
ROK DRUGI



ŚWIAT ZA PIĘĆ LAT

ROK DRUGI

(FRAGMENT)

MARCIN B. BRIKEN

Wrocław

Redakcja
Romuald Lazarowicz

Ilustracje i projekt okładki
Krystyna Szczepaniak

Skład i łamanie
„Lena”, Wrocław

Korekta
Mirosława Zmysłowska

Copyright of this edition 2015 © by „Lena”

Copyright of text 2011 © by Marcin B. Brixen

Copyright of illustrations 2011 © by Krystyna Szczepaniak

ISBN 978-83-64195-19-8 (e-book)

Wydawnictwo „Lena”
ul. Pasteura 15a-20
50-367 Wrocław
www.wydawnictwo-lena.pl

Zamówienia:
info@wydawnictwo-lena.pl

ĆWIERĆKOLONIE

CZĘŚĆ 1

M

owy nie ma – powiedział stanowczo tata Łukasza.

– I bardzo dobrze – odetchnął z ulgą Łusaszek. Wyszedł z pokoju na korytarz i zderzył się z dziadkiem.

– Co tam się dzieje, do kaduka! – dziadek bębnął w drzwi toalety.

– Zajęte! – rozległ się świergot siostry Łukasza. – Maluję się!

– Akurat! – dziadek nie poddawał się i parł na klamkę. – Ja muszę! Otwieraj!

– Czy wy musicie się tak drzeć? – rzekła z potępieniem w głosie babcia Łusaszka, płynąc dostojnie przez mieszkanie.

– Ona tam się nie maluje! – dziadek giął się przy drzwiach, nękany pilną potrzebą fizjologiczną. – Widzę przez szybę jakieś błyski!

– Może syfy wyciska? – zapytał głośno Łusaszek.

W łazience rozległ się głośny pisk. Gwałtownie otworzyły się drzwi i wypadła z nich różowa smuga.

– Chodź no tu, mały gnojku! Jakie syfy? No jakie syfy? Znajdź tu choćby jednego! – krzyczała głosem siostry różowa smuga, goniąc wokół stołu za Łusaszkiem.

– Na litość, dziecko, ubierz się... – wyjąkała babcia.

– Jestem ubrana, mam bieliznę!

– Te dwa sznurki na krzyż to bielizna?! Za Gomułki byłoby to nie do pomyslenia! – i zawstydzona babcia zasłoniła sobie oczy fartuchem.

– Babcia na mnie krzyczy, a sama barchany pokazuje! – odezwiała się siostra i po chwili sama musiała się salwować ucieczką do toalety. W drzwiach zderzyła się z dziadkiem, który akurat opuszczał owo pomieszczenie.

– Co to jest? – zapytał dziadek, pokazując jakiś niewielki przedmiot.

– Aparat fotograficzny – wybąkała siostra i zgrabnym ruchem wyłuskała go dziadkowi z dłoni. Nie odpowiedziała na pytanie, co robiła aparatem w łazience, i zniknęła w swoim pokoju.

Jakiś czas później do drzwi mieszkania Hiobowskich zapukał chłopak siostry. Grzecznie się przywitał, grzecznie przysiadł na krześle i nieśmiało zapytał, gdzie jest siostra.

– Ona... Tego... Roz... Przebiera się – poprawiła się babcia.

Chłopak siostry poprawił nerwowo źle zawiązany krawat i dla rozluźnienia atmosfery zapytał Łukasza, co w szkole.

– Są wakacje, ty nędzna fiucino – odpowiedział z pogardą zapytany i został skrzyzczany przez mamę.

– A jak tam wakacje? – chłopak siostry się nie poddawał.

– No, latamy z chłopakami pod blokiem – rzekł lekko rozczarowany Łusaszek. – Mieliśmy plany, ale...

– Mówiłem, żeby zapisać go na kolonie – wtrącił dziadek.

– Kolonie to były za PRL. Dla wszystkich. Ale oczywiście było to złe – rzekła z przekąsem babcia.

– W wakacje są te, no... półkolonie – powiedział chłopak siostry.

– Nie ma – wszedł mu w słowo tata Łukasza. – Ze względu na kryzys teraz są ćwierćkolonie. Państwowe. Płatne.

– Zapiśmy go – zaproponował dziadek.

– Mowy nie ma – powiedzieli jednocześnie Łuszek i tata.

– Dlaczego? – zdziwił się chłopak siostry.

– Bo to kosztuje – kontynuował tata. – Nie stać nas. Poza tym po co mu to? I państwo powinno zająć się czymś ważniejszym, a nie wyciąganiem kasy od społeczeństwa pod pozorem ćwierćkolonii...

– Uważam, że powinien chodzić. Wszyscy tak mówią w telewizji, autorytety tak twierdzą w prasie... – odezwała się mama Łukasza.

– A dlaczego powinienem chodzić? – zapytał Łuszek.

– Bo... Bo... Bo... – mama usiłowała sięgnąć leżący na tapczanie egzemplarz „Wiodącego Tytułu Prasowego”.

– Ale mowy nie ma – zaproponował tata. – Był przecież sondaż i okazało się, że tylko niecały procent ludzi chce zapisać dzieci na ćwierćkolonie. Są za drogie...

– Chyba lepiej, żeby poszedł. Pokażę dlaczego – i chłopak siostry poszedł do korytarza po kurtkę. Przyniósł ją do pokoju i z kieszeni kurtki wyjął jakąś kartkę. – Znalazłem ją pod drzwiami – wyjaśnił i wręczył Hiobowskiemu. Po chwili weszła siostra Łukasza i siadła koło swojego chłopaka.

Była to ulotka wydana przez rząd. Głosiła, że oczywiście, zapisanie dzieci na ćwierćkolonie jest dobrowolne, ale...

– Ci, którzy nie zapiszą dzieci na ćwierćkolonie, będą mieć odbierane samochody, zniżki na komunikację, zasiłki bezrobotne, renty i emerytury – przeczytał tata Łukasza i popadł w stupor.

– To faszyzm – oburzyła się babcia.

– Jaki faszyzm, wybór przecież jest – obruszyła się mama.

– Czyli co? Nie idę? – upewniał się Łuszek.

– Idziesz! – zakrzyknęli chórem dorośli.

– Przecież mówiliście, że jest wybór!

– I wybraliśmy, że idziesz – powiedział tata. – Będziesz dorosły, to zrozumiesz. W poniedziałek cię zapiszemy.

Chłopak siostry zbladł i zaczął nerwowo macać kurtkę.

– Portfel – jęknął. – Nie ma...

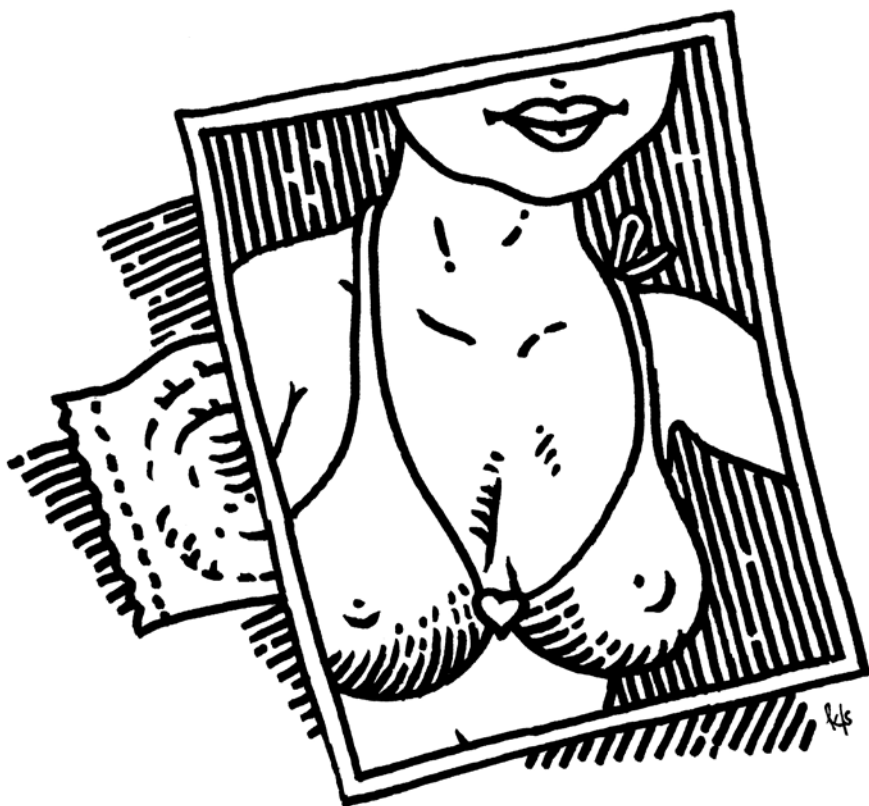
– To ona – babcia pokazała siostrę Łukasza. – Kręciła się na korytarzu koło twojej kurtki. Pewno coś zabrała...

– Nie zabrała, tylko dołożyła – obraziła się siostra. – Może włożyłam nie do tej kieszeni...

– Jest – odetchnął z ulgą chłopak siostry. Otworzył portfel, szybko zamknął, jeszcze raz otworzył, popatrzył dłużej, oblał się pąsem i zamknął.

– Nie miał mojego zdjęcia, więc mu dałam! – zaszczębiotała słodko siostra.

– To stąd ten aparat w łazience! – krzyknął dziadek. – Pokażcie to zdjęcie!



– Nie mogę! – odparł przerażonym głosem chłopak siostry. – Zresztą ja już muszę iść... Wpadłem się tylko umówić na weekend...

Pożegnał się szybko i wyszedł. Siostra Łukaszka pognała na balkon i długo patrzyła w dół. Wreszcie ujrzała, jak z bloku wyszedł jej chłopak. Przeszedł kilka kroków, a potem sięgnął do kieszeni kurtki, wyjął portfel, otworzył go i szedł, jednocześnie w niego patrząc.

– No! – rzekła z satysfakcją siostra Łukaszka. – Oni wszyscy tacy sami! Łukaszek leżał w swoim pokoju i gryzł poduszkę. Okradali go z wakacji!

ĆWIERĆKOLONIE

CZĘŚĆ 2

Poniedziałkowego ranka dziadek zaprowadził Łukasza na ćwierćkolonie. Najbliższe odbywały się w osiedlowym domu kultury.

– Co za tłum – dziwił się dziadek. Okazało się, że prawie wszystkie dzieci z osiedla zostaną zapisane na ćwierćkolonie. Niektórzy dorośli przynieśli dokumenty świadczące, że ich pociechy nie mogą uczestniczyć w zajęciach – zwolnienia lekarskie albo zaświadczenia o tymczasowym zameldowaniu gdzieś na wczasach.

– Ależ proszę państwa to niepotrzebne – śmiała się gruba starsza pani. – Ćwierćkolonie są dobrowolne.

– Jakie dobrowolne?! – gorączkował się jeden z rodziców. – Dostałem ulotkę, że jak nie zapiszę dziecka na te skubane kolonie i nie zapłacę, to mi nakazą zamurowanie okna w kuchni!

– Tylko snajper może uratować ten kraj! – krzyczał inny rodzic. Dziadek rozpoznał go od razu – to był tata Grubego Maćka. Przy jednym ze stolików siedzieli Gruby Maciek i okularnik z trzeciej ławki. Łukaszkowi od razu poprawił się humor.

– Współczuję pani – powiedział dziadek Łukasza do grubej starszej pani.

– Ohoho, ja sobie radę dam, niejeden rocznik zetempowców wychowałam!

– Współczuję wam – powiedział dziadek do chłopców i wyszedł razem z tatą Grubego Maćka.

Zaczęły się zajęcia.

– Będzie darmowy obiad – oznajmiła uśmiechnięta starsza gruba pani, wzbudzając entuzjazm wśród dzieci.

Nie wszystkich.

– Jaki darmowy, przecież starzy zapłacili – zaoponował nie kto inny, tylko Łusaszek.

– Nie zapłacili, tylko dopłacili – starsza gruba pani była już mniej uśmiechnięta. – Będziecie mieć obiad...

– Obiad to ja mam w domu, po co mi drugi? – wyrwał się okularnik. – Przez te głupie ćwierćkolonie starzy obciąli mi kieszonkowe, nie mam za co chipsów kupić...

– Mi też...

– Mnie też... – rozległo się z sali.

– Rodzice dają wam kieszonkowe? – starsza gruba pani popatrzyła na dzieci. Nie uśmiechała się już wcale. – A płacą podatek od darowizny kieszonkowego?

– I coś ty narobił, nędzna fiucino – wyraził swoją dezaprobatę Gruby Maciek i poparł ją solidnym kuksańcem.

– Twoja stara powinna była się wyskrobać – odszczeknął się okularnik.
– Cisza! – starsza gruba pani palnęła dłoń w stół. – Są wakacje, jesteście na ćwierćkoloniach i ma być przyjemna atmosfera do cholery jasnej!! Jak mi który będzie rozrabiał, to z miejsca wywalam za drzwi!!

Dwie sekundy później wybuchła bójka. Dziesięć sekund później trójka uczestników została wystawiona na korytarz z okrzykiem „Won do domu”.

– Fajno, to te głupie kolonie mamy z głowy – otrzepał dłonie Łukaszek.
– Ale tylko na dziś, jutro znów musimy przyjść – przypomniał Gruby Maciek.
– Spoko, jutro zrobi się ten sam numer...
– Ej, ale czy jutro możemy zrobić to inaczej? – dopytywał się gorączkowo okularnik z trzeciej ławki. – Jak dzisiaj wy laliście mnie, to ja jutro leję was, co? No, co?

– Odpada – Łukaszek pokręcił przecząco głową. – Jutro też lejemy ciebie.

Gruby Maciek klepnął przyjacielsko okularnika w plecy i powiedział:

– Bo to musi wyglądać prawdziwie...

ĆWIERĆKOLONIE

CZĘŚĆ 3



rogie dzieci – powiedziała gruba starsza pani, która prowadziła ćwierćkolonie. – Mamy nie tylko się bawić na naszych spotkaniach, ale i czegoś uczyć.

– To my się bawimy? – przerwał jej znudzony Łukaszek. – Ani internetu, ani...

– Cisza! – pani palnęła dłonią w stół i skrzywiła się lekko z bólu. Dłoń już ją bolała od nieustannego uderzania. – Jak jeszcze raz któryś z waszej trójki się odezwie, to go wysłę na czyn społeczny!

Zapadła cisza. Dzieci biorące udział w ćwierćkoloniach wstrzymały nawet oddechy.

– A więc... Drogie dzieci, dziś powiemy sobie o zagrożeniach czyhających na was w waszym młodym życiu. Czy ktoś z was wie, kto to jest pedofil?

Nadal panowała cisza. Jedna ręka nieśmiało podniosła się w górę.

– Mów – westchnęła gruba starsza pani.

Podniósł się okularnik z trzeciej ławki i powiedział:

– No... U nas w szkole jest pedofil.

– Jezus Maria!!! – pani chwyciła się za obfity biust, pod którym pulsowało jej wrażliwe niewątpliwie serce. – Wiecie kto to jest?!

– Jasne. Ta pani ma gabinet obok sekretariatu. I rozmawia z rodzicami, jak przychodzą do szkoły. I nami też się zajmuje...

– Pani??? Gabinet??? A może chodzi ci o pedagoga?

– Może – zgodził się ochoczo okularnik.

Starsza gruba pani nakazała okularnikowi usiąść, a sama z ulgą opadła na krzesło. Krzesło zatrzęszczało niebezpiecznie, ale wytrzymało.

– Drogie dzieci, pedofil to ktoś straszny, okropny. Robi dzieciom wielką krzywdę. Defloruje wasze... e... marzenia.

– Co to znaczy: defloruje? – zapytał natychmiast Łukaszek.

– Zapytaj rodziców – odparła natychmiast pani. – Jak już mówiłam, pedofil robi dzieciom straszne rzeczy. Widzę, że nie traktujecie tego poważnie. No cóż, nie jesteście w stanie sobie tego nawet wyobrazić. Musicie jednak mieć jakieś pojęcie, żebyście nie lekceważyli tego zagrożenia, muszę je wam pokazać.

Gruba starsza pani otworzyła szafę, był tam telewizor z zestawem dvd. Wyjęła z torebki płytę. Na okładce była na wpół roznegliżowana dziewczynka i napis „Sechs und Sex”.

– To dla waszego dobra – wyszeptała pani i oblizała prędko wargi. – Musicie wiedzieć, czego się macie wystrzegać.

Już chciała umieścić płytę w odtwarzaczu, gdy zauważyła, że Gruby Maciek celuje w nią komórką.

– Co ty robisz?!

– Gazeta „To, Co Jest” ogłosiła konkurs na fajne foty z wakacji. Płacą nawet pięć dych euro – wyjaśnił Gruby Maciek.

– Żadnych zdjęć!!!

I Gruby Maciek znalazł się za drzwiami.

Po chwili dołączyli do niego Łukaszek i okularnik.

– O, a wy za co? – zdziwił się Gruby Maciek.

– Za to, że siedzieliśmy z tobą przy jednym stoliku – wyjaśnił Łukaszek.

– Znowu nas wywalili – zmartwił się okularnik.

– No i dobrze, to co, znowu idziemy na rower? – zaproponował Łukaszek.

I poszli. Za drzwiami starsza gruba pani darła się, że nie dorośli do rozmowy o pedofilii, więc filmu nie będzie. I że na czas zajęć dzieci mają jej oddać komórki.

ĆWIERĆKOLONIE

CZĘŚĆ 4



starsza gruba pani skrzyżowała ręce na brzuchu (z trudem) i spojrzała na swoich podopiecznych.

– Drogie dzieci. Dzięki naszym zajęciom wiecie już trochę więcej o pedofilii. A pedofil to kto?

– To złoooo... – odparły niskim głosem dzieci.

– Być może niedługo łagodna pedofilia będzie legalna... – tu pani szybko oblizwała wargi. – No, ale nieste... jeszcze nie jest. Więc dzisiaj uczymy się dalej unikać zagrożeń.

– Znowu? Eeee...

– Dzisiaj będziemy się uczyć bronić przed pedofilami w Internecie!

– Hurra!

Starsza gruba pani zaprowadziła dzieci do sąsiedniej sali w osiedlowym domu kultury. Stały w niej komputery.

– Uwaga! Wchodzimy do Internetu! Tutaj każdemu z was kładę kartkę z adresem czata i pseudonimem, pod jakim ma się zalogować! Na moją komendę... loguj... się!

Pani zaczęła chodzić po sali i patrzeć na monitory.

– Halo! Co to jest?!

– Strona o tipsach... – rozległ się nieśmiały, dziewczęcy głos.

– Nie ma żadnych tipsów! Wchodzimy na czata pedofilskiego! Są wakacje, bawimy się i uczymy!

Kiedy wszystkie dzieci zalogowały się już tam, gdzie powinny, starsza gruba pani nakazała im podjąć rozmowy z uczestnikami czata. Łukaszowi udało się nawiązać kontakt z „Dwunastolatek szuka sponsora”.

– Elo – zagaił Łukaszek.

– Elo – odpowiedział dwunastolatek.

– Co robisz?

– Szukam sponsora.

– A po co?

– Chcę sobie kupić gry na komputer.

– A jakie?

– „Automasakrę”.

– Przecież ten staroć jest na wyprzedażach i kosztuje grosze... – zdziwił się Łukaszek i badał dalej. – A po co kupować? Nie lepiej ściągnąć z netu?

– Ja nie ściągam – brzmiała odpowiedź. Łukaszowi wydała się podejrzana. Zapytał więc ponownie:

– A w co lubisz grać?

– W co tylko chcesz, misiu... Możesz mnie związać, penetrować...

Tego dla Łukasza było już za wiele.

– Psze pani! – zakrzyknął. Starsza gruba pani przydreptała i opierniczyła Łukasza.

– Miałeś rozmawiać z pedofilem, a nie z kolegą!

– Ale on jest jakiś taki dziwny! Nie zna się na grach i chce je kupować, zamiast ściągać!

Starsza, gruba pani siadła do komputera, a wokół zgromadziły się wszystkie dzieci. Wylogowała Łukasza i zalogowała się sama jako „SuccubusSexy”.

– Faktycznie, dziwny jakiś ten dzieciak – wyszeptała pani. – Za łatwo z nim idzie.

– Czy to pedofil? – zapytał okularnik z trzeciej ławki.

– Być może. Trzeba będzie go dokładnie sprawdzić. Jeśli to pedofil, to... go zamkną. A jeśli to nie pedofil... – pani oblizała prędko wargi. – Aha, ani słowa w domu rodzicom, co tu robimy! Rodzice nigdy was nie zrozumieją!

Wyjęła komórkę i zadzwoniła na policję, informując, że w trakcie ćwierćkolonii jej podopieczni natknęli się na grasującego w sieci pedofila. Podała adres czata, pseudonim podejrzanego i obiecała, że go jeszcze przetrzyma.

– A my? – zapytał Gruby Maciek.

– Wy... Do domu. A ja jeszcze trochę tu posiedzę – wyszeptała pani i oblizała prędko wargi. – Zobaczymy, czy to pedofil, czy faktycznie dwunastolatek. Śmiały jak na dwunastolatka. Mmmm...

Dzieci po cichu wymknęły się z sali.

Następnego dnia rano, zamiast starszej grubej pani powitała ich młoda dziewczyna.

– Nie ma waszej pani – poinformowała od razu dzieci. – Została zatrzymana przez policję.

– Wiemy, wytropiła wczoraj pedofila!

– To nie był pedofil.

– A kto?

– Policjant tropiący pedofili...

ĆWIERĆKOLONIE

CZĘŚĆ 5

Tego dnia dzieci przyszły do osiedlowego domu kultury, a ich pani jeszcze nie było.
– Może jeszcze jest na policji? – zapytał głośno Łukaszek. Ale młoda dziewczyna, która wczoraj ją zastępowała, powiedziała im, że już jest i rozmawia z kierownikiem.

– ...ależ tak było, panie kierowniku – zza uchylonych drzwi pokoju kierownika osiedlowego domu kultury dochodził głos starszej grubej pani. – Nie da się tej bandy upilnować i tyle. Mieliśmy w planach zajęcia z internetu, wie pan, takie pożyteczne drobiazgi, ale skąd mogłam wiedzieć, że któremuś strzeli do głowy zaglądanie na czata? I to na takiego dla pedofili?! Zgroza, po prostu zgroza, ma pan rację, kiedyś tego nie było. Ta dzisiejsza młodzież! Naprawdę, przysięgam panu, nie wiedziałam, co oni tam piszą! To samo powiedziałam na policji!

– Żeby mi to było ostatni raz! – powiedział pan kierownik. Co odpowiedziała starsza gruba pani, nie wiadomo, bo zagłuszyło ją radio, które włączył pan kierownik.

– ...po pięciu latach udało się wreszcie ustalić kto kupił teren, na którym znajdowały się wtedy polskie stocznie! – darł się spiker. – Trop prowadzi do sklepu zoologicznego w Zgierzu! Jeszcze nie wiemy, skąd ten sklep dysponował takimi pieniędzmi! Właściciel twierdzi, że ze spontanicznych wpłat studentów!

– Co tu robicie?! – starsza gruba pani wyszła z gabinetu kierownika i trochę się zdenerwowała na widok swoich podopiecznych. – Migiem do klasy!

Gdy znaleźli się już w sali, starsza gruba pani powiedziała cicho:

– Drogie dzieci. Mówiliśmy ostatnio, jak się wystrzegać pedofili. Bo pedofil to kto?

– To złoooo... – odparły niskim głosem dzieci.

– No... tak. I tacy ludzie są właśnie na czatach, na które zaglądaliśmy. Ale zapomniałam wam powiedzieć, że jest tam jeszcze jeden typ ludzi. Ale to nie ludzie. To wilki! – twarz pani wykrzywiła się w odpowiednim grymasie. – To są policjanci. Wiecie kto to policjant?

– To złoooo...

– Y... No tak. I ci ludzie tam siedzą całe godziny, i szpiegują, szcują, podpuszczają i kablują! Coś okropnego! A propos, pamiętacie, żeby nie mówić rodzicom, co tu robimy?

– Pamiętamy!

– Bardzo dobrze. Ja jeszcze gdzieś zadzwonię... – starsza gruba pani wyjęła komórkę. – Halo? To pani? No, dzień dobry. Ile ja pani wiszę kasy? Aha. A gdzie pani teraz jest? Na miejscu? Dobra, to wpadnę i oddam.

Odłożyła telefon i spojrzała na dzieci.

– Moi drodzy. Starczy na razie tych komputerów i pedofili. Dziś idziemy do parku.

– Eeee... Nudy,

– Ale tam będą lody! – kusila pani. – Macie pieniądze?

– Mamy! – ożywiły się dzieci.

– To idziemy!

Wyszli z budynku, ale nie poszli w stronę parku. Starsza gruba pani dziarsko prowadziła ich pomiędzy bloki, wsiedli w autobus i przejechali parę przystanków.

– Daleko do tego parku? – pytał Gruby Maciek.

– Zmiana planów – powiedziała starsza gruba pani.

Doszli do budynku, na którym widniał szyld „Lombard”. Weszli do środka.

– Drogie dzieci – starsza gruba pani wskazała panią za ladą. – Tą panią wczoraj okradziono!!

Pani za ladą wytrzeszczyła oczy.

– Tak, tak – kontynuowała opiekunka dzieci. – Okradli ją! Biedna jest! Musicie jej pomóc, bo jak to – nie pomóc okradzionej? No, dalej, zrzucamy się, sami mówiliście, że macie pieniądze!

Sypnął się bilon szeroko, dzieci się wzruszyły krzywdą pani zza lady.

– No, to chyba jesteśmy kwita – starsza gruba pani uściśnęła dłoń pani zza lady i razem z dziećmi wróciła do domu kultury. Po drodze jeszcze raz przypomniała, aby o niczym nie mówiły rodzicom.

WAKACYJNY WEEKEND

CZĘŚĆ 1



ama Łukasza oznajmiła całej rodzinie, że tak dalej być nie może.

– No zobaczcie tylko – machała kartkami „Wiodącego Tytułu Prasowego”. – Ile miasto przygotowało różnych ofert kulturalnych! Koncerty, występy! A my siedzimy w domu, jak te borsuki w dziupli!

– Borsuki nie siedzą w dziuplach – zaprotestował dziadek. W odpowiedzi mama pokazała mu notatkę zatytułowaną „Borsuka nakryto w dziupli”.

– To pseudonim gangstera, którego nakryto w kryjówce pełnej skradzionych aut – wyjaśnił tata Łukasza, ale mama nie dała się przekonać. Co więcej, powróciła do swojego pierwotnego tematu, czyli do kultury.

– Chodźmy coś zobaczyć – nalegała.

– Coś? Na pewno już masz zaplanowane co – stwierdziła babcia, zając ramię przez ramię i zobaczyła zakreśloną mazakiem jedną z pozycji repertuaru. Było to przedstawienie pod tytułem „Przyszłość Unii Europejskiej”, przygotowane przez teatr „Ostatnia szansa”. Po długich namowach Hiobowscy zdecydowali, że jednak pójdą.

W parku stała drewniana scena, na której rozgrywało się przedstawienie. Hiobowscy zasiedli na ławce wśród innych ludzi i zaczęli oglądać. Na scenie kręciła się spora grupa ludzi poubieranych w kolorowe bluzy.

W środku stał jeden, ubrany w czerwoną bluzę. Po prawej stało trzech w czarnych bluzach, z tyłu jeden w wielokolorowej, a wokół chodziło mnóstwo ludzi w białych bluzach.

– Akt pierwszy – oznajmił głos z głośnika. – Przybycie.

Na scenie, po lewej pojawiło się dwóch w zielonych bluzach.

– Pozwólcie nam zamieszkać u siebie! – zawołali. – U nas źle, ciasno i meganiefajnie!

– Jasne! – zawołał ten w czerwonej bluzie. – Zgadza się?

– Tak... – odpowiedziały niemrawo białe bluzy.

– Nie! – zaprotestowały czarne bluzy.

Kolorowa bluzka milczała.

– Większość decyduje! – oznajmił radośnie ten w czerwonej bluzie. – Witamy was u nas! Bądźcie grzeczni i przestrzegajcie naszych zwyczajów, dobra?

– Oczywiście, oczywiście – zieloni gięli się w ukłonach.

Kurtyna.

– Akt drugi – rozległo się z głośnika. – Dziesięć lat później.

Na scenie trochę się pozmieniało. Czerwonych było już trzech, kolorowych też trzech. Tych w czarnych bluzach było sześciu, a w zielonych – czterech. Tylko białych ubyto.

– Hej – powiedział jeden z kolorowych. – My mamy najgorzej. Chcemy więcej praw!

– Co wy na to? – zapytali jednogłośnie czerwoni.
– Nie – odpowiedzieli jednym chórem zieloni, czarni i biali.
Kurtyna.

– Akt trzeci – oznajmił głośnik. – Znowu dziesięć lat później.

Na scenie ponownie się pozmieniało. Ponownie ubyło białych, nadal jednak stanowili najliczniejszą grupę. Czarnych było dwunastu, zielonych szesnastu, kolorowych nadal trzech. Co ciekawe, czerwonych było też trzech, przy czym dwóch miało kolorowe czapki.

– Chcemy więcej praw! – krzyknął jeden z kolorowych.

– Co wy na to? – zapytał czerwony bez czapki.

– Nie – odpowiedzieli jednym chórem zieloni, czarni i biali.

– Oni się nie znają, nie wiedzą, nie powinni się wypowiadać – powiedział drugi czerwony w kolorowej czapce. – My głosujemy. Kto jest za?

Podniósł rękę i drugi czerwony w kolorowej czapce też podniósł rękę. Czerwony bez czapki ręki nie podniósł.

– Przeszło! – krzyknął czerwony w kolorowej czapce. – Od tej pory macie więcej praw!

– Hurra! – zakrzyknęli kolorowi.

– Ej, to oszustwo! oszukali nas, widzieliście?! – krzyczeli czarni.

– A co to nas... – powiedzieli apatycznie biali.

Kurtyna.

– Akt czwarty – zadudnił głośnik. – Kolejne dziesięć lat później.

O ile nadal było trzech czerwonych (w tym dwóch w kolorowych czapkach), o tyle liczba pozostałych grup się zmieniła. Kolorowych przybyło dwóch, czarnych sześciu. Najwięcej przybyło zielonych, a białych ubyło, tak że teraz te dwie grupy liczyły tyle samo osób.

– Nie wierzę w żadną religię, ale symbole religijne mnie drażnią! – krzyknął jeden z kolorowych. – Znieśmy je!

– Nie! – zaprotestował czerwony bez czapki.

– Głosujemy – zaproponował czerwony w kolorowej czapce.

– A nie spytamy reszty?

– To głupki, po co ich pytać. No, głosujemy – i czerwony w czapce oraz drugi czerwony, też w czapce, podnieśli ręce. Czerwony bez czapki był przeciw.

– Wygraliśmy – kontynuował czerwony w czapce. – Natychmiast usuńcie wszystkie swoje symbole religijne!

Czarni ze smutkiem zdjęli kaptury i założyli białe czapki.

– No, a wy? – czarni zapytali zielonych.

Zieloni obstąpili czerwonych, wyjęli noże i przyłożyli im do gardła.

– Wy nie musicie – oznajmili czerwoni. Zieloni schowali noże i odeszli do swoich.

– Ej, to oszustwo! – krzyknęli czarni.

– A co to nas... – powiedzieli apatycznie biali.

Kurtyna.

– Finał – rozległo się z głośnika. – I znowu dziesięć lat później.

Na scenie było tyle samo czerwonych, czarnych i kolorowych. Ubyło białych, a zielonych przybyło. Dużo.

– Hej, chcemy nowych praw! – krzyknął jeden z kolorowych.

– Wystarczy tych waszych praw – powiedział jeden z zielonych.

– My o tym decydujemy! – zawołał jeden z czerwonych.

– Kto jest za tym, żeby ich odwołać? – zapytał zielony. Przeciw byli czarni i kolorowi. Wszyscy zieloni za.

– A co to nas... – powiedzieli apatycznie biali.

– Przegraliście głosowanie. Wypad – powiedział zielony i czerwoni zeszli ze sceny.

– No to niech nam zostaną te prawa, jakie już mamy – odezwał się pośpiesznie jeden z kolorowych.

– Już my wam pokażemy nasze prawa – powiedział zielony. Do kolorowych podeszło paru zielonych i też sprowadzili ich ze sceny.

– Przyjęliśmy was gościnnie i obiecaliście szanować nasze prawa – powiedzieli czarni.

– Obietnice składane niezielonym są nieważne – odparł zielony i czarni też zostali sprowadzeni ze sceny.

– A co to nas... – powiedzieli apatycznie biali, ale się ożywili, kiedy przyłożono im noże do gardeł.

– Albo będziecie tacy jak my, albo wypad – powiedział zielony. Biali zdjęli swoje bluzy i założyli zielone.

Kurtyna.

Sztuka się zakończyła niemrawymi oklaskami. Wśród Hiobowskich zdania były podzielone.

– Święta racja! Święta prawda! – ekscytował się dziadek.

– Mówcie, co chcecie, ale za komuny nie byłoby tego – babcia też była poruszona.

– Nic z tego nie rozumiem – poskarżyła się siostra Łukaszka.

– Coś podobnego było u nas w szkole, jak mieliśmy wspólny wuef na dworze – powiedział w zamyśleniu Łukaszek. – Jak chłopaków było więcej niż dziewczyn to graliśmy w nogę, a jak dziewczyn było więcej to graliśmy w siatkę...

– Odrażające! Skandaliczne! – mama Łukaszka nie mogła się uspokoić.

– Ciekawe, co zagrają następnym razem – zastanowił się tata Łukaszka. Okazało się, że nie będzie następnego razu. W nocy estrada się spaliła.

Gazeta „To, Co Jest” napisała: „Gigantyczny pożar! Wszyscy mogli umrzeć!! Wszyscy umrą!!!”. Inne gazet pisały, że to deski zapaliły się same z siebie albo od zwarcia instalacji elektrycznej. Pożar wybuchł wieczorem, albo o północy, albo nad ranem i trwał dziesięć minut lub dwie godziny.

Komunikat policji brzmiał: „Estrada spłonęła w wyniku podpalenia. Pożar zaczął się o drugiej w nocy i trwał trzydzieści minut”.

ĆWIERĆKOLONIE

CZĘŚĆ 6



rogie dzieci – oznajmiła starsza gruba pani, kiedy rozpoczął się kolejny dzień zajęć w osiedlowym domu kultury. – Cieszę się, że nadal uczęszczacie na moje zajęcia. Przypominam, że macie absolutny zakaz mówienia rodzicom, co tu robimy.

– Dlaczego? – zapytał Łukaszek.

– Bo to jest stare pokolenie – mówiła pani napiętym szeptem. – Oni was nie rozumieją. Krzyczą. Zabraniają. Biją. Nie rozumieją tego świata. A świat się zmienia i kto nie idzie naprzód, ten stoi do tyłu! Zresztą sami rodzice tak mówią, że szkoła powinna wychowywać.

– Nie jesteście w szkole – zadudnił Gruby Maciek.

– Bo tu, na ćwierćkoloniach, wykonamy pierwszy krok. Następny będzie po wakacjach, właśnie w szkole. A teraz zajęcia indywidualne. Będziecie rysować, a ja was będę pojedynczo wywoływać i porozmawiamy sobie.

I tak minęło kilka godzin. A na koniec zajęć starsza gruba pani powiedziała, że będą uczyć się czegoś nowego.

– To się nazywa poparcie – poinformowała pani. – Na mój znak macie klaskać, skakać i cieszyć się. Sami zobaczycie, jakie to fajne! Uwaga, start!

Dzieci zaczęły skakać, klaskać i krzyczeć.

– Starczy! I znowu! Wystarczy! I jeszcze raz! Starczy! A ty czemu się nie cieszysz?

– Bo z czego? – zapytał Łukaszek.

– Z niczego, bo ja wam tak mówię!

– Eee... – Łukaszek wzruszył ramionami.

– Dzieci, cieszcie się, a ja chwilę pogadam z waszym kolegą... – i starsza gruba pani nachyliła się do ucha Łukasza.

– Jak nie będziesz robić, tego co mówię, to.... – oblizała szybko wargi i wyszeptwała Łukaszce jego największą fobię.

Łukaszek zbladł i zeszywniał.

– Widzisz? Ja wszystko wiem. A teraz, na trzy cztery, cieszymy się!

I Łukaszek cieszył się z innymi.

– No powiedz, co ona ci powiedziała, no powiedz! – nalegali Gruby Maciek i okularnik, kiedy we trójkę wracali po zajęciach z osiedlowego domu kultury.

– Coś strasznego, to, czego się najbardziej boję – Łukaszek zwiesił smętnie ramiona.

– Ona wie wszystko – rzekł z namaszczeniem okularnik.

– Ciekawe skąd – mruknął Gruby Maciek.

– No, akurat tego, czego ty się boisz, wie ode mnie – wyznał Łukaszce z głupią miną okularnik. Sekundę później leżał na chodniku.

– Ty świniou! Ty zdrajco! – Gruby Maciek ledwo powstrzymywał Łukasza.

– Jak mogłeś!

– Ej, no bo ona też mi powiedziała coś strasznego – wybąkał okularnik wstając powoli. – Ciekawe, skąd to wiedziała...

I razem z Łukaszką spojrzeli na Grubego Maćka.

– Czy to takie ważne kto i od kogo? – rzekł pośpiesznie Gruby Maciek. – Pomyślmy lepiej, co robić.

– Co za gówno – wściekał się Łuszek. – Nie możemy tak dalej robić. Nic jej nie mówić i trzymać się razem. Zawsze razem, rozumiecie?

– A jak znowu zaczniesz nas straszyć? – zapytał Gruby Maciek.

– Wtedy... – Łuszek wziął głęboki oddech niczym pływak skaczący z wysokiej skały i zaproponował wyjście ostateczne. – Wtedy trzeba będzie powiedzieć starym.

– Starym?! – Gruby Maciek był wstrząśnięty. – Ja od dawna nic nie mówię starym, bo oni niczego nie rozumiają! I teraz co?

– Przecież pani powiedziała, że nic nie mamy mówić rodzicom – przypomniał wystraszony okularnik.

– I ty ją chcesz słuchać? – powiedział lekceważąco Łuszek.

– Ona dowie się na pewno! Wie wszystko!

– Bo sam jej kabłujesz nędzna fiucino... – i Gruby Maciek zaczął się szarpać z okularnikiem.

– Mam! – Łuszek plasnął pięścią w otwartą dłoń. – Powiem dziadkowi! Dziadek to nie rodzic, no nie?

ĆWIERĆKOLONIE

CZĘŚĆ 7

Starsza gruba pani oznajmiła dzieciom, że idą coś zobaczyć.
– Przecież leje deszcz – powiedział przerażony okularnik z trzeciej ławki.

– Trzeba było wziąć parasol – uśmiechnęła się pani i poszli.

Na dworze dzieci ustawiły się dwójkami i powędrowały w rzęsistym deszczu. Pani szła za nimi pod parasolem i wytyczała kierunek. Kwadrans później dotarli do galerii sztuki.

– Czas na kulturę – powiedziała pani. – Wchodzimy. Dzisiaj jest wystawa z okazji piątej rocznicy śmierci Michaela Jacksona.

– Kto to był Michael Jackson? – zapytał Gruby Maciek. Gruba pani zamokła z irytacją i powiedziała, że wszystkiego dowiedzą się na wystawie.

Wystawa zaczynała się nietypowo, bo od pogrzebu artysty. Na wielkim telebimie pojawiały się relacje osób, które dowiedziały się o tym wydarzeniu.

– Łomajgaaaad!! – dał się jakiś osobnik na ekranie, płacząc i rozmazując smarki po t-shircie z napisem „Jesus Elvis Che Guevara” i rysunkiem sierpa i coli (zamiast młota). – Aj em soł wery hepiiii!!

– On się cieszy, że Jackson umarł? – zdziwił się Łukaszek. Na ekranie wyświetlały się napisy tłumaczące z angielskiego na polski, „O Boże!!! Wylosowałem



bilet na pogrzeb Michaela!!! Byłem tam!!! Widziałem to!!! Pogrzeb Michaela był najpiękniejszym dniem w moim życiu!!!”

– Aaa... Jackson... Mój stary mówił, że był pedofilem... – przypomniał sobie okularnik.

– To złoooo... – odparły niskim głosem dzieci.

– Nie, nie, nie! – zaprotestowała starsza gruba pani i oblizała szybko wargi. – On wcale tych dzieci... nie tego. To były plotki. Oglądamy dalej. O! Szykują nową wystawę. Niegotowa jeszcze, ale to nic. Przyjdziemy innym razem. Może nie będzie tak padało – pani popatrzyła na zmoknięte dzieci i na swój parasol. – Ciekawe, o czym będzie ta wystawa.

– To będzie wystawa historyczna – wtrąciła się pani z galerii. – Zaprezentujemy najnowsze ustalenia wspólnej komisji izraelsko-niemieckiej do spraw badania polskiego hitleryzmu. Okazało się, że za cały holokaust odpowiadają chłopię z Podlasia!

– O! – zdziwiła się starsza gruba pani. – Myślałam, że słowaccy chłopię też!

– Tak, tak jeszcze było w zeszłym roku, ale powstał tam niedawno specjalny fundusz kompensacyjny dla ofiar...

– Fascynujące! Na pewno przyjdziemy! No, dzieci, nie pada już, wracamy! Pod galerią sztuki wpadli na niezbyt liczny, ale bardzo kolorowy tłumek.

– Żądamy! – skandowała pani z megafonem. – Jesteśmy homoseksualistami i żądamy praw do spadku, informacji w szpitalu i wspólnego rozliczania podatków! To skandal, że nie mamy praw małżeństw!

– A pani jest małżeństwem? – zapytał Gruby Maciek.

– Oczywiście!!! – pani z megafonem odruchowo powiedziała to do megafonu i wszyscy zakryli sobie uszy. Dalej mówiła już bez megafonu. – Oczywiście! Z nią! – pokazała jakąś panią i przestały sobie buzi.

– Brawo!!! – zakrzyknęła starsza gruba pani i zaklaskała. – Dzieci, pamiętajcie, co ostatnio ćwiczyliśmy? Cieszymy się! Wszyscy! Patrzę, kto się nie cieszy! Dzieci się cieszyły.

– Są tacy ludzie, którzy tym biednym homoseksualistom odmawiają tego, co chcą. Wiecie, co to za ludzie? – zapytała starsza gruba pani i odparła konspiracyjnym szeptem:

– To pedofile!

– To złoooo... – odparły niskim głosem dzieci.

– A pani ją popiera? – zapytał Łukaszek.

– Oczywiście! – i starsza gruba pani dumnie podparła się jednorącz pod bok, bo w drugiej ręce nadal dzierżyła parasol. Łukaszek spojrzał na starszą grubą panią, na panią aktywistkę i zaproponował:

– To dajcie sobie buzi!

Wybuchła straszna awantura.

ĆWIERĆKOLONIE

CZĘŚĆ 8

Pod osiedlowym domem kultury doszło do mroźących krew w żyłach wydarzeń. Starsza gruba pani została wezwana do kierownika, więc dzieci pod opieką młodej zastępczyni wysłała na taras na piętrze.

– Nuda – powiedział Gruby Maciek, kiedy to razem z Łukaszkim i okularnikiem z trzeciej ławki wisieli przewieszeni przez poręcz.

– Nuda się zaraz skończy – Łusaszek mocniej wychylił się w przód. – Zobaczcie, kto tu idzie.

Przez ich osiedle szła grupa młodzieży z sąsiedniego osiedla. Duży, groźny.

– Łe, a tam nasi stoją – zatroskał się Gruby Maciek. Niedaleko domu kultury stała grupka miejscowych chłopaków. Byli mniejsi i mniej liczni od intruzów.

– O rany, zaraz ich zleją – okularnik mątał nogami.

Nie ziali. Przybysze otoczyli szczerlinie miejscowych i ograbili z pieniędzy, zegarków i telefonów. Łusaszek i spółka zawołali młodą zastępczynię, która lekko wstrząśnięta zadzwoniła na policję.

– Oczywiście, już wysłałam patrol – zabuczał ktoś w słuchawce. – Tylko, że trafiła pani akurat na zmianę zmian. Właśnie czekamy na patrole, które wracają na posterunek, żeby oddały służbowe buty zmiennikom. Oszczędności...

Tymczasem pod domem kultury akcja toczyła się dalej.

– Szukamy kogoś z tych, co to od niedawna mieszkają na waszym osiedlu, w tym nowym bloku – mówił przywódca intruzów.

– Po co? – zapytał któryś z miejscowych.

– Bo ich nie lubimy i chcemy im spuścić wpierdol – wyjaśnił drugi intruz.

– Jak nam który powie, gdzie takiego znaleźć, to dostanie telefon.

Miejscowi milczeli, ale jeden spośród nich złamał się i powiedział, że jeden taki nowy się chowa tu, za rogiem.

– Grzeczny chłopiec – powiedział drugi intruz i dał mu komórkę. Złapali tego nieszczęśnika chowającego się za rogiem, wciągnęli w krzaki i stłukli solidnie.

– O ja cię! – jęknął Gruby Maciek. – Z nimi nie ma żartów.

Kiedy nowy wyszedł z krzaków, wyglądał strasznie. Krew, siniaki.

– Za co?! Za co?! – krzyczał płacząco.

– My was, kurna, nie lubimy – wyjaśnił mu jeden z intruzów.

Pojawił się jakiś facet, okazało się – ojciec pobitego. Krzyczał, jak można zrobić coś takiego jego dziecku.

– Dobra, ty też masz telefon i nie drzyj się – powiedział przywódca intruzów. Dał komórkę ojcu pobitego i poszli sobie.

I wtedy przyjechała policja.

– To oni! – darli się na zmianę pobity i jego ojciec, pokazując grupę miejscowych – Oni! Oni! Oni! Wszystko oni!

– Oni go tak pobili? – pytała policja.
– Nie! Oni donieśli! Za kasę!
– My nie! – zaprzeczyli miejscowi. – Tylko ten jeden!
– Kto go pobił?! – dopytywała się policja.
– Ci z sąsiedniego osiedla! – wtrącił się jeden z miejscowych. – Nam też grozili i okradli nas!

Ale pobity i jego ojciec tylko krzyczeli i wskazywali na miejscowych, że ci mają im zapłacić za to, co zrobili. Żądali kolejnych telefonów. Zbiegła się reszta ich rodziny. Zaczęli się szarpać z policjantami, a ktoś nawet wsadził jednemu z nich długopis do nosa. Na sztorc!

W domu Hiobowscy byli wstrząśnięci tym, co zaszło, i potępili. Dziadek – napastników, siostra Łukaszka – wszystkich, tata Łukaszka – napastników i donosiciela, babcia – napastników i pobitego wraz z całą rodziną, a mama powiedziała, że nie można tak ferować na gorąco i ona najpierw musi się zapoznać z dogłębną i wielostronną relacją w „Wiodącym Tytule Prasowym”. Wszyscy jednak byli zgodni co do jednego – nie jest bezpiecznie.

– Dla większego bezpieczeństwa będziecie chodzić razem – oznajmiła babcia dziadkowi i Łukaszkowi.

– Dużo to da – rzekł z przekąsem dziadek. – Jak wyjdzie taka banda kilkunastu troglodytów, to...

– Spoko, mam plan – wtrącił się Łukaszek. Kiedy wszyscy myśleli, że wielkodusznie powie „ja obronię dziadka”, Łukaszek oznajmił:

– Plan jest taki. Jakbyśmy się na nich natknęli, to ja ich odciągam, a dziadek spierdala w drugą stronę i woła o pomoc...

WAKACYJNY WEEKEND

CZĘŚĆ 2



Właściwie trudno przypisać komuś winę za pogrzebanie dobrze rozwijającej się kariery pewnego polityka. Na pewno największy wkład miała siostra Łukasza. Ale gdyby nie spłot okoliczności i decyzje kilku innych osób, nie miałyby szans wykazać się swoimi zdolnościami.

Pierwszym punktem, od którego należy zacząć tę historię, był telefon od przyjaciółki.

– Hej, kisunie, siemanko – szczebiotała przyjaciółka. Po rytualnym obgadaniu wszystkich najnowszych ploteczek przyjaciółka zaprosiła siostrę do siebie. Siostra zaproszenie przyjęła i za pomocą komunikacji miejskiej niezwłocznie udała się na miejsce.

U przyjaciółki było bardzo fajnie, chociaż podobno gospodyni miała jakąś pilną pracę.

– Ach, to ten mój chłopak – powiedziała niedbale przyjaciółka. – Przyniósł mi jakieś papiery do przepisania. Sam nie mógł tego zrobić.

– Przecież jest niedziela – zauważyła błyskotliwie siostra Łukasza.

– No tak, ale on jest ciągle zajęty, ciągle gdzieś lata, ciągle coś załatwia. No wiesz, jest asystentem takiego polityka.

– Co robi polityk?

– Nie wiem, chyba nic – wyznała szczerze przyjaciółka siostry. – Bo za niego to wszystko musi robić mój chłopak.

Siostra powiedziała, że sama mogłaby spróbować tego przepisywania.

– Kochana, z nieba mi spadaś! – ucieszyła się przyjaciółka i posadziła siostrę przed swoim komputerem. Siostra zatarła natarte kremem dłonie i zabrała się do dzieła.

Nie było to tak proste, jak myślała. Wyrazy były długie i skomplikowane, z trudem układały się w zdania, których sensu siostra Łukasza nie mogła złapać.

– Sondaż dotyczący preferencji seksualnych społeczeństwa... – sylabizowała z trudem. – Publiczne obnażanie się... 0,57%. Nic z tego nie rozumiem.

Wzięła komórkę i zadzwoniła do swojego chłopaka.

– O co chodzi z zerem i przecinkiem?

– Oj, pępuszku – powiedział chłopak. – No jak to, nie wiesz? Jeżeli po przecinku jest tylko zero, to się go nie pisze...

Siostra Łukasza dokładnie policzyła. Licząc od lewej zero było przed przecinkiem. Ale licząc od prawej zero było za przecinkiem! I dlatego siostra Łukasza z czystym sumieniem wpisała do komputera: „Publiczne obnażanie się: 57%”.

Chwilę później pojawiła się przyjaciółka i we dwie szybko skończyły pozostałą część tekstu – szczerze powiedziawszy, nie zostało go zbyt wiele.

Wydrukowały go i wkrótce wpadł po niego chłopak przyjaciółki. Porwał go i pobiegł na kolejne spotkanie swojego polityka.

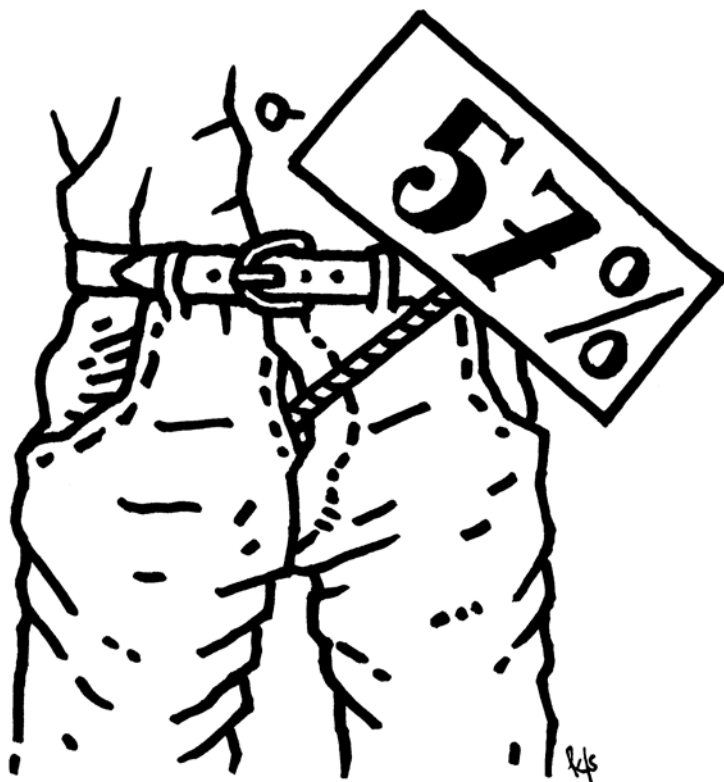
– To niemożliwe – powiedział polityk w osłupieniu przeglądając wydruk.
– Pięćdziesiąt siedem procent ludzi lubi publiczne... obnażanie się?

– Tak wynika z sondażu – powiedział cicho chłopak przyjaciółki.

Polityk, który w swojej karierze kierował się jedynie sondażem, westchnął, po czym wyszedł do gości zaproszonych na konferencję. Wszedł na stół i oświadczył:

– Moi drodzy! Jestem zmuszony coś wam pokazać! Coś, czego chce zdecydowana większość społeczeństwa! – po czym sięgnął do rozporka. Nie było aplauzu. Na sali zapadła martwa cisza, przzerwana jedynie kwikiem wniebowziętych dziennikarzy. Jeden z nich pisał już w notatniku roboczy tytuł: „Boże, on naprawdę to zrobił! Ludzie o mało nie umarli ze wstydu!! Wszyscy umrą!!!”. Polityk zamknął oczy, czuł łzy pod powiekami i powtarzał sobie: „Sondaż! Sondaż!”.

Siostra Łukaszka siedziała w domu i jadła budyń, jakby nic się nie stało.



ĆWIERĆKOLONIE

CZĘŚĆ 9

Starsza gruba pani zaskoczyła wszystkich, kiedy na zajęciach oznajmiła:

– Idziemy dziś do muzeum.

Wszyscy byli w ciężkim szoku.

– Do takiego prawdziwego muzeum? – zapytał okularnik z trzeciej ławki.

– A są nieprawdziwe? – odbiła piłeczkę pani.

– No właśnie nie wiem, bo mój stary o naszej sąsiadce mówi: muzeum. Z przodu. A z tyłu, że liceum. Przecież my nie mieszkamy ani koło muzeum, ani koło liceum, tylko koło monopolowego. Nic nie rozumiem – wyznał okularnik.

– Zrozumiesz, kiedy dorośniesz – odpowiedziała zgrabnie pani i powiedziała, że wychodzą.

Pojechali tramwajem do miasta i dotarli do muzeum historycznego.

– Eee... – powiedział Gruby Maciek. – Znowu ta historia... Nudy...

– Historia nigdy nie jest nudna, chłopcze! – powiedziała starsza gruba pani z dziwnym błyskiem w oku. – Wchodzimy. Zobaczycie takie rzeczy, o których nie uczą w szkole, a są bardzo... ciekawe... Taak...

Weszli do sali z napisem „604 rocznica bitwy pod Grunwaldem” i stanęli przed obrazami jednego pana i jednej pani.

– Oto król Władysław Jagiełło i jego żona Jadwiga.

– Ten Jagiełło z bitwy pod Grunwaldem? – zainteresował się Łukaszek.

– Ten sam. Ale nie o bitwie będziemy teraz mówić. Chodzi mi o ich ślub, zawarty w tysiąc trzysta osiemdziesiątym szóstym roku. Otóż... – starsza gruba pani oblizwała szybko wargi. – On wtedy miał dwadzieścia cztery lata a ona trzynaście. Taka młoda. I co, można było? Można było. A w dzisiejszych czasach zaraz byłby krzyk, że pedofilia. A jak sami widzicie, to wielowiekowa tradycja. Nie musieli tego od razu robić w noc poślubną, ale... – i tutaj starsza gruba pani zaczęła opowiadać, co jej zdaniem działo się w noc poślubną Jagiełły i Jadwigi. – Uczulam was na to, drogie dzieci, bowiem łagodna forma tej przypadłości, mam tu na myśli pedofilię, ma zostać wkrótce skreślona z listy chorób i stanie się alternatywnym stylem życia...

– Czy mogę w czymś pomóc? – z tyłu odezwał się męski głos. Pani przetrwała i odwróciła się gwałtownie. Za nimi stał młody facet, do koszuli miał przyczepioną plakietkę z napisem „przewodnik”.

– Czy mógłby nam pan...

– Ależ oczywiście! – i pan przewodnik poprowadził ich ku ekspozatom. – Otóż, jak zapewne wszyscy wiedzą, bitwa pod Grunwaldem odbyła się w tysiąc czterysta dziesiątym roku. Ale nie wszyscy wiedzą, jakie było tło historyczne tego wydarzenia. Otóż Krzyżacy byli wtedy prekursorami alternatywnych stylów życia, najczęściej homoseksualizmu, ale i bywały przypadki współżycia

ze zwierzętami. Proszę sobie wyobrazić: sami mężczyźni w zamku, długie okresy przebywania razem, stres związany z walką, nic więc dziwnego, że ich relacje przekraczały zwykłą przyjaźń męsko-męską. Próbowano taką postawę propagować dalej i piętnastego lipca Krzyżacy zorganizowali paradę gejowską, na którą zaprosili wielu gości z całej Europy. Niestety, Polacy wraz ze swoimi sprzymierzeńcami brutalnie przerwali ową pokojową demonstrację. A przecież na samym początku przywódca Krzyżaków, von Jungingen, próbował pertraktować z Jagiełłą. Co tu kryć, Jagiełło bardzo podobał mu się fizycznie i jako znak swego uczucia przesłał mu dwa miecze. Miecz to, oczywiście, symbol falliczny... Wiecie, co to jest?

– Starsza siostra mi kiedyś tłumaczyła – odezwał się jeden z dzieciaków.
– Bierze się do ust...

– No tak – zakaszła pan przewodnik. – Zatem jeden miecz symbolizował symbol falliczny Jagiełły, a drugi – Jungingena. Symbole te były, jak pamiętamy, nagie, czyli intencje były jednoznaczne. Jungingen zamiast wojny proponował miłość, najlepiej w krzakach między Grunwaldem a Stębarkiem. Jagiełło, który był heterykiem, jednak odrzucił ten gest i doszło do bitwy. Czy są pytania? Nie ma? Dziękuję, do widzenia.

Dzieci powoli wychodziły z muzeum, gdy starsza gruba pani zaczęła pana przewodnika.

– To było fascynujące, co pan opowiadał – powiedziała pani i na jej twarzy pojawiły się szkarłatne wypieki. – Nie wiedziałam, że Jungingen był... tego...

Pan przewodnik wybuchnął śmiechem.

– Przecież ja to wymyśliłem na poczekaniu! – wołał śmiejąc się. – Nudzi mi się tu jak nie wiem, więc...

– No wie pan! – oburzyła się starsza gruba pani. – Człowiek z pańskim wykształceniem!

– Ano właśnie, wykształcenie – posmutniał pan przewodnik. – Wykształcenie mam wysokie, bardzo dobre, techniczne, kierunkowe, nastawione na badania naukowe. Tylko że nigdzie mogłem znaleźć pracy. Zgodnej z moim wykształceniem, oczywiście. U nas nie ma nowych technologii, centrów badawczych i tak dalej. Robota jest albo przy taśmie, albo na kasie. Tak sobie czasem myślę, czy nie lepiej, żeby wtedy przegrali – wskazał wiszące na ścianie portrety Jagiełły i Witolda. – No to sobie wolałem wziąć tę robotę. Kasa podłā, ale przynajmniej praca pewna, godziny stałe, męczyć się specjalnie nie trzeba, tylko z nudów można oszaleć... Przepraszam, idzie następna grupa zwiedzających.

Poszedł w tamtą stronę i było słychać, jak mówi:

– Bitwa pod Grunwaldem była pierwszą bitwą, w której zastosowano nurków. Polscy rycerze przekraczali Wisłę, idąc po dnie i oddychając powietrzem z bukłaków...

POWSTANIE WARSZAWSKIE I TERAŹNIEJSZOŚĆ



Weekend zapowiadał się piękny. Hiobowscy po długich dyskusjach zdecydowali się pojechać następnego dnia nad jezioro. – Żadnego wyjazdu! – zapienił się dziadek. – Jutro jest siedemdziesiąta rocznica wybuchu Powstania Warszawskiego!

Zostanemy w domu i uczcijmy to!

Zanim babcia zdołała zareplikować wtrącił się tata Łukasza i poinformował dziadka, że czić można w drodze, nad jeziorem, gdziekolwiek. Dziadek dał się przekonać. Zapakował różaniec, lektury tematyczne i oświadczył, że może jechać.

Nazajutrz załadowali do samochodu wszystko to, co potrzebne nad jeziorem (a nawet znacznie więcej), i pojechali. Niestety, więcej osób wpadło na podobny pomysł i brzeg jeziora był bardziej zatłoczony niż centrum miasta. Hiobowscy zaczęli rozkładać się gdzieś wśród trzcin – brzeg jeziora w stosunku do zeszłego roku przesunął się jakieś pięćdziesiąt metrów w stronę środka akwenu. Łukaszek dojrzał dzieci grające w piłkę wodną i tyle go widzieli. Do drastycznych scen doszło, gdy siostra Łukasza zdjęła ubranie.

– Na litość boską! Okryj się dziecko! – dziadek i babcia runęli z ręcznikami na siostrę Łukasza.

– Ależ ja jestem ubrana! Mam na sobie kostium! – piszcziała siostra Łukasza.

– Gdzie?!!

– Tutaj! – siostra pokazała jakieś sznureczki wpijające się w ciało i poszła spacerować.

Tata Łukasza poszedł popływać, a mama Łukasza rozłożyła leżak i za-tonęła w lekturze „Komandosów z Navarony” MacLeana, ale czytanie jakoś jej nie szło.

– Chyba mnie oszukali w bibliotece – stwierdziła. – To jest coś o wojnie, a nie o frakcjach w PZPR...

– Zosiu!! Basiu!! Andrzej!! – nawoływali się ludzie poprzez warkot silników, płacz dzieci i ujadanie psów. Nad jeziorem snuły się dymy setek grillów, a dziesiątki odbiorników radiowych przypominały, że dziś jest siedemdziesiąta rocznica wybuchu Powstania Warszawskiego.

– To cieszy, że naród pamięta – rzekł z satysfakcją dziadek.

– Wariują już z tym powstaniem – powiedziała gorzko babcia, wycierając nogi ręcznikiem z czterema pancernymi. – Ani słowa o PKWN, ani o dwudziestym drugim lipca, a przecież Ludowe Wojsko – też polskie! – oswobodziło kraj, gałęzie czereśni rzucało się na czołgi...

– Żal, co? – zapytał złośliwy dziadek w przerwie dmuchania koła ratunkowego z dwoma kaczymi główkami.

– No jasne, że żal – przyznała babcia. – Jeszcze do niedawna dziennikarze nazywali warszawską hekatombę szaleństwem londyńczyków, a dziś, ci sami dziennikarze... Nic z tego nie rozumiem.

Dziadek już chciał babci wytłumaczyć, jak to naprawdę jest, ale zrobiło się wielkie zamieszanie. Jakiś facet wjechał furgonetką na plażę i zaczął sprzedawać lody na patyku. Hiobowscy, oczywiście, także je zakupili. Na opakowaniu był rysunek dzieciaka biegnącego z karabinem i napis „Lody powstańcze”.

– To już przegięcie – skomentowała babcia. Dziadek milczał.

Wczesnym popołudniem Hiobowscy stwierdzili, że już dosyć tego relaksu. Wyłuskali siostrę Łukasza z grupy adorujących ją chłopaków. Znaleźli Łukasza, który cały czas grał w piłkę wodną i prawie wymiotował wodą. Wsiedli do samochodu i ruszyli. Tata Łukasza włączył radio.

– ...już za trzy kwadranse godzina „W”!!! – emocjonował się spiker. – Pamiętajmy, aby oddać hołd powstańcom!!! Zatrzymajmy się i włączmy coś, co robi hałas!!! Syreny, klaksony, gwizdki!!!

Babcia nic nie powiedziała. Dziadek także.

W pewnym momencie samochody przed nimi zaczęły zwalniać, aż zatrzymały się. Wzdłuż szosy szedł policjant.

– Co się stało? – zapytał go tata Łukasza.

– Zatrzymujemy ruch, bo zaraz będzie godzina „W” – poinformował go policjant.

– Że co???

– No, rocznica wybuchu Powstania Warszawskiego. Niektórzy zatrzymują się, żeby oddać hołd powstańcom...

– To dlaczego zatrzymujecie wszystkich??? – tata Łukasza nie posiadał się z oburzenia.

– Tak bezpieczniej. W zeszłym roku ludzie zatrzymywali się gdzie bądź, i to wciskając hamulce do deski. W wypadkach o siedemnastą rok temu zginęły trzydzieści cztery osoby. Więc w tym roku zatrzymujemy wszystkich...

Do siedemnastej brakowało jeszcze paru minut. Hiobowscy wysiedli, nawet siostra Łukasza. Ludzie chodzili wzdłuż szosy. Jedni narzekali, inni się cieszyli, że wszyscy będą obchodzić rocznicę Powstania. Dziadek próbował zaintonować Rotę.

– Siedemnasta! – krzyknął ktoś. Zabuczały klaksony, zaświstały gwizdki. Babcia Łukasza demonstracyjnie zatkała uszy.

Hałas był straszny i może dlatego nikt nie usłyszał, jak jakiś facet biegał i wołał pomocy. Na szczęście wpadł na Łukasza.

– Czemu pan tak biega?! – zapytał Łuszek.

– Samochód mi się pali! – krzyknął nieszczęśnik.

Łuszek błyskawicznie sięgnął do ich samochodu, wyjął gaśnicę i pojechał za panem. Na szczęście pan trochę przesadził: nie „samochód się palił”, tylko spod maski szedł gęsty, jasny dym. Podnieśli maskę, a Łuszek fachowo odpałił gaśnicę i popryskał komorę silnika.

– Moja gaśnica nie zadziałała – przyznał właściciel samochodu. – A swoją drogą skąd wiedziałeś, jak ją włączyć?

– W szkole kiedyś... Nieważne. Grunt, że starczyło. Jak u nas, pod blokiem, niedawno zjarał się samochód, to pięć takich gaśnic nie stykło. Dopiero jeden facet, który jechał tirem przyniósł taką gaśnicę... – Łukaszek rozłożył ręce, żeby pokazać i prawą ręką w coś trafił. To był brzuch dziadka.

Dziadek był wiśniowy z gniewu.

– Jak ty się zachowujesz, niewdzięczny gówniarzu!! – złapał Łukaszka za rękę. – Zamiast oddać hołd powstańcom, postać dosłownie jedną minutę, to ciebie gdzieś nosi!!! I jeszcze wypaprałeś ojcu gaśnicę!! Co by to było, gdybyś żył w czasach Powstania!!

– Jeśli mogę coś powiedzieć – wtrącił się właściciel samochodu. – Myślę, że świetnie dałby sobie radę...

WAKACYJNE WYJAZDY

CZĘŚĆ 1



omimo kryzysu – kto miał pracę, ten jechał na wakacje. Czy daleko, czy blisko, czy razem, czy osobno – wyjechać, odebrać się na chwilę od codziennych problemów i zastąpić je niecodziennymi.

Najdalej wypuścili się rodzice okularnika z trzeciej ławki. Korzystając z oferty biura podróży Soylen Green, zabrali syna do Holandii. Kraj ten jednak zwiedzali osobno. Okularnik razem z innymi dziećmi udał się szlakiem dla nieletnich: a to zajrzeli do „shopów”, a to się nauczyli uncje odmierzać, a to dystrykt latarni obejrzeli...

Rodzice okularnika wraz z innymi dorosłymi uczestnikami wycieczki mieli wycieczki fakultatywne dla dorosłych, między innymi taką o enigmatycznie brzmiącej nazwie: „last minute”.

– Pewno jakaś szczególnie atrakcyjna – ucieszyli się chytrze i natychmiast zapisali się, tym bardziej że dosyć tania była. Wszyscy chyba tak pomyśleli, bo wszyscy się zapisali.

Na miejscu okazało się, że prowadzą ich do białego, dużego budynku.

– Muzeum – przekonywali się nawzajem zwiedzający, ale wkrótce ktoś zauważył, że przed wejście zajeżdżają karetki, a po korytarzach kręcą się ludzie w piżamach.

– Co my tu mamy zwiedzać? – pytała wystraszona mama okularnika.

Wkrótce wszystko się wyjaśniło. Młoda, uśmiechnięta pielęgniarka (emigrantka z Polski) zaprowadziła ich na pewien oddział, pokazała chorych leżących pod aparaturą i powiedziała, że wycieczkowicze mogą zrobić im „last minute”.

Czyli odłączyć od aparatury.

– Państwo widocznie nieprzyzwyczajeni – wyjaśniała wyrozumiale pielęgniarka, widząc, że wycieczkowicze wpadli w stupor. – To eutanazja. Jedna ze zdobyczy cywilizacyjnych Zachodu. Państwo z Polski? To czemu się tak dziwicie? My miewaliśmy tu już pacjentów z waszego kraju, o, nawet jeden też tu teraz leży.

Faktycznie, z jednego z łóżek ktoś zamachał i rozległ się słaby głos:

– Rodacy!

– Niech pan ucieka! – krzyknął pod wpływem impulsu ojciec okularnika.

– Uratujemy pana!

– E, nie ma po co. Emerytura głodowa, leki drogie, kradną wszędzie... A tak – państwo mi nawet zapłaciło za przelot samolotem! Pierwszy raz w życiu leciałem samolotem! Co prawda, bilet był tylko w jedną stronę... Więc jakbym mógł państwa prosić... Ten guziczek nadusić...

Ale jakoś nikt nie mógł się na to zdobyć. Wyszli więc, odprowadzani krzykiem pacjenta, że kto mu w takim razie opłaci jeszcze jedną dobę w tym szpitalu, bo on już więcej organów na sprzedaż nie ma.

– Nic się nie stało – pielęgniarka nadal się uśmiechała. – Widać, że państwo nieprzyzwyczajeni. Ale to minie. U nas minęło szybko.

– I co z nim teraz będzie? Z tym pacjentem z Polski? – zapytała wstrząśnięta mama okularnika.

– To nie pierwszy taki przypadek... Zazwyczaj robimy konkurs SMS. Kto wygra – ten naciska. Efekt ten sam, a i szpital trochę zarobi...

– I co? Ludzie się zgłaszają? – pytał z niedowierzaniem tata okularnika.

Pielęgniarka uśmiechnęła się jeszcze szerzej i oświadczyła:

– Można powiedzieć, że się za tym zabijają...

WAKACYJNE WYJAZDY

CZĘŚĆ 2



Wyjazdy wakacyjne okularnika z trzeciej ławki i Grubego Maćka znacznie się różniły. Okularnik spędzał je połowicznie z rodzicami (jechali razem, zwiedzali osobno) i wybrali się za granicę. Gruby Maciek jechał w zupełnie inną stronę niż jego rodzice i wszyscy zamierzali pozostać w kraju.

Rodzice Grubego Maćka pojechali na wybrzeże. Nie odstraszył ich ani zimny Bałtyk, ani ceny lokalnej gastronomii, ani nawet zagrożenie sanitarno-epidemiologiczne. Co więcej, pojechali do miejscowości znanej jako polityczna kuźnia. Tu powstawały partie polityczne, tu rodziły się majątki nowych gwiazd politycznych. I właśnie coś takiego stało się na ich oczach.

Otóż fortuna uśmiechnęła się do sympatycznego młodego człowieka, który właśnie założył partię RSHA – Reasekuracyjne Stowarzyszenie Honorowych Agentów. Młody człowiek poszedł do pewnego bistro i tam zagrał na automacie. Był to automat z metalowymi szczypcami i skrzynią pełną pluszaków. I młody polityk miał niesamowite szczęście. Zagrał i wygrał. Pięćset pięćdziesiąt cztery wygrane pod rząd. To się zdarza. Co prawda, niektórzy później kwestionowali wysokość wygranej, że niby tyle pluszaków w jednym automacie się nie zmieści. Ale młody polityk miał zaświadczenie. Podpisali je kierownik bistro i kucharka. Niestety, nie mogli dodać nic od siebie. Dzień później kucharka rzuciła pracę i zamustrowała na czeski statek „Masaryk”, zeszła na ląd w Zimbabwie i najstarsze goryle nawet jej nie widziały. Tak przynajmniej twierdził młody polityk. Co do kierownika bistro, sprawa była prostsza. Parę dni później śmiertelnie potrafiła go na budowie taczka. Osiemnaście razy.

Wróćmy do dnia wygranej. Młody polityk został z furą pluszaków i szczęśliwie dla niego akurat przechodził dyrektor państwowej firmy. Dyrektor znał tatę młodego polityka ze wspólnych wycieczek po Europie Zachodniej w latach sześćdziesiątych i siedemdziesiątych. Dyrektor zachwycił się tymi pluszakami, odkupił je za grube pieniądze i kazał nieść swoim tragarzom. Akurat z tragarzami przechodził. I tak oto młody polityk dzięki uśmiechowi fortuny został bogatym młodym politykiem.

– Niesamowite – powtarzał w uniesieniu tata Grubego Maćka i resztę urlopu spędził na automatach, jak i połowa ludności miasta, które dowiedziało się o młodym polityku.

– On mógł, to ty też! – dopingowała go żona.

Ale nikt jakoś nie mógł. Widocznie do młodego polityka szczęście uśmiechnęło się tak bardzo, że dla innych już go nie starczyło.

– Samo szczęście nie wystarczy, trzeba mu pomóc – stwierdził Gruby Maciek, który w tym roku znowu pojechał na kolonie. Zeszłoroczny, pierwszy pobyt bardzo dużo go nauczył o życiu. W tym roku więc przygotował się

bardzo starannie. Obejrzał wiele filmów o sztuce walki, a nawet zakochał się pierwszą, szczenięcą miłością w Cynthii Rothrock.

Po przyjeździe na kolonie Gruby Maciek od razu wyczuł, gdzie czai się największe niebezpieczeństwo. Przyjęło ono postać drobnego blondynka o niewinnej buzi. W rzeczywistości blondynek dopadał gdzieś samotne ofiary, bił, kopał, wymuszał pieniądze i robił kompromitujące fotografie telefonem. Wyjście mogło być tylko jedno.

Gruby Maciek zebrał potajemnie wszystkie ofiary blondynka i dopadli go pewnego wieczora. Rozwalili mu telefon i spuścili taki łomot, że blondynek uciekł do lasu i długo nie wracał. Wreszcie zameldowali o tym wychowawcom, starannie przemilczając przyczynę ucieczki.

Kierownik zarządził poszukiwania. Biegali nocą po lesie z latarkami przez kilka godzin, aż kierownik zadzwonił, że znalazł blondynka i przenocuje go w swoim domku.

Nazajutrz, podczas śniadania, blondynek siedział obok kierownika. Ale jakoś tak krzywo, jakby go coś bolało. I blady był, i oczy miał podkrążone.

– Nic ci nie jest? – zapytał Gruby Maciek, który miał wyrzuty sumienia.

Blondynek nic nie odpowiedział, tylko wybuchnął rozdzierającym płaczem.

– Roztrzęsiony jest – powiedział uspokajająco kierownik kolonii. – Najlepiej będzie, jeśli nadal będzie spał u mnie. Dzieci teraz są takie okrutne. Mogą mu dokuczać.

Blondynek zaczął płakać jeszcze głośniejsze, a Gruby Maciek odetchnął z ulgą. Reszta kolonii zapowiadała się spokojnie i beztrosko.

WAKACYJNE WYJAZDY

CZĘŚĆ 3

H

iobowscy w tym roku również zamierzali gdzieś pojechać. Na przeszkodzie stanął jednak wszechobecny kryzys.

– A tak by się pojechało... – westchnęła babcia. – Mówcie, co tam sobie chcecie, ale za komuny każdy mógł gdzieś pojechać!

Było i dofinansowanie i kolonie i wszystko...

– ...jak się weszło w tyłek pani kadrowej – dokończył dziadek. – O święta naiwności! Czy ty kobieto myślisz, że naprawdę jechał każdy, kto chciał?

I się pokłócili.

– A gdzie pojechalibyśmy w tym roku? – zapytał Łukaszek.

– Nie mówi się „gdzie” tylko „dokąd” – poprawiła go mama i sięgnęła na półkę po „Słownik dla tych, którzy chcą być młodzi, inteligentni i dobrze wykształceni”, dodany do „Wiodącego Tytułu Prasowego”.

– W zeszłym roku byliśmy w górach, więc w tym roku jechalibyśmy nad morze – zdecydował autorytarnie tata.

Pokazano mu przykładowe cenniki noclegów i wyżywienia obowiązujące nad Bałtykiem. Dodatkowo zapłacił się tam pożyczony od rodziców Grubego Maćka egzemplarz gazety „To, Co Jest” z wielkim tytułem na pierwszej stronie „Boże, Bałtyk opanowany przez kraby-giganty! Po ich ataku ludzie mogą umrzeć!! Wszyscy umrą!!!”.

– Co z tego, że w zeszłym roku byliśmy w górach, w tym roku też możemy jechać – zmienił zdanie tata Łukaszka.

– Też nie pojedziemy, bo nas nie stać – zauważyła gorzko mama Łukaszka.

– Ale nie stać nas mniej! – rzekł triumfująco tata.

Zapowiadało się na kolejną kłótnię, ale sytuację uratował dziadek Łukaszka. Zapytał, ile mogą przeznaczyć na wyjazd. Hiobowscy określili ile.

– To dawać mi tę kasę – zażądał dziadek. Zgarnął pieniądze ze stołu i oświadczył, że on im załatwi taką wycieczkę, że ją zapamiętają na długo.

– Jak dziadek ją załatwi? Kiedy? Przecież noclegi od dawna wykupione! – reszta rodziny mnożyła wątpliwości.

– Nie ufacie mi? Obiecuję wam! – dziadek rozłożył szeroko ręce. – Będziecie mieć wypoczynek jak w górach! Za parę dni wyruszamy! Nasze hasło to: by wypoczywało się lepiej! Wszystkim!

WAKACYJNE WYJAZDY

CZĘŚĆ 4



iedy dziadek dał sygnał, cała rodzina zapakowała się do samochodu.

– Wszystko brać, wszystko – dyrygował dziadek. – Jakbyście jechali w góry!

– To jedziemy czy jakbyśmy jechali? – tata Łukaszka zaczął wietrzyć podstęp. – Dziadek obiecał!

– Oczywiście! Obiecuję wam drugie Tatry! – przyrzekł uroczyście dziadek.

Hiobowscy załadowali bagaże do auta. Co ciekawe, dziadek też miał wypchany plecak. Tata Łukaszka odpalił silnik i ruszyli przez miasto. Wyjechali na trasę wylotową prowadzącą w kierunku gór.

– Nie tędy! – krzyknął dziadek, który siedział obok taty. – Trzeba skręcić! Tam!

– Ale... W góry jedzie się tędy – protestował tata.

– Kto organizuje wycieczkę? – warknął dziadek i pojechali we wskazanym przez niego kierunku.

Wyjechali poza miasto, przejechali kilka kilometrów przez podmiejskie wioski, by wreszcie dotrzeć do lasu.

– Tu w prawo – dał wskazówkę dziadek. Tata Łukaszka posłusznie zwolnił i zatrzymał się przy opalanej, skąpo odzianej pani, stojącej przy polnej drodze prowadzącej w głąb lasu.

Skąpo odziana pani podeszła do ich samochodu z nadzieją na twarzy, która zamieniła się w zgrozę na widok ilości pasażerów.

– Nie wiem, co dziadek kombinuje ale mi się to nie podoba – zastrzegł się tata.

– To czemu stajesz? Czy ja ci mówiłem, że masz się zatrzymać?! – krzyczał dziadek.

– Właśnie, czemu się zatrzymałeś? – dopytywała się mama Łukaszka, jednocześnie lustrując wzrokiem przedstawicielkę świata znanego jej jedynie z reportaży „Wiodącego Tytułu Prasowego”.

– To co ja mam zrobić? – krzyczał tata.

– Naprzód i do przodu! – dał się trochę bez ładu i składu dziadek. – Tą pełną drogą! Skręcić miałeś, a nie się zatrzymać!

Samochód ruszył powoli naprzód i kolebiąc się na nierównościach zagłębił się w las. Przed oczami zdumionej, opalanej pani przededefilowała cała rodzina Hiobowskich: tata, mama, dwoje emerytów i dzieci.

– Wot, kakoje perwersy – opalona pani splunęła za odjeżdżającym autem i dla uspokojenia nerwów zapaliła papierosa.

WAKACYJNE WYJAZDY

CZĘŚĆ 5, OSTATNIA

Samochód jechał jakieś dziesięć minut przez las i zatrzymał się przed płotem z siatki. W płocie była brama, obok bramy stał niewielki barak, a przed nim siedziało na krzesłach dwóch starszych panów w kamizelkach z napisem „Patałach – ochrona”.

– Witam – dziadek energicznie wyskoczył z szoferki. – To ja. Dzwoniłem wcześniej. Czy wszystko gotowe?

– Tak – jeden ze starszych panów podniósł się z trudem. – Dzisiaj firma nie pracuje. Mają wolne za święto Odsieczy Wiedeńskiej. Cały teren dla państwa.

– Jaki teren? Jaka firma? – pytali Hiobowscy. Dziadek nie odpowiadał, tylko kazał zaparkować koło baraku, wziąć plecaki i iść za nim. Las kończył się już po kilkunastu krokach i otwierała się wielka przestrzeń zamknięta od góry niebem, a od dołu solidną dziurą.

– Żwirownia! – jęknęła babcia i złapała się za głowę. – Czyś ty, stary, oszalał?

– Dziadek obiecał nam góry – protestował Łukaszek.

– To prawie jak góry – pokazał ręką dziadek. – Obiecałem, to prawda, ale kryzys okazał się większy, niż sądziłem. Zamiast w góry przyjechaliśmy tu. Poza tym sami stwierdziliście, że w tym terminie nie da się załatwić noclegu. No to o co chodzi? Plecaki na plecy i ruszamy!

Doprowadził ich na krawędź żwirowiska i kazał zejść na dół, po ścianie żwirowiska na dno. Kiedy zeszli, kazał im wejść na górę. Kiedy weszli, kazał im zejść na dół... Po godzinie zbuntowała się mama Łukasza.

– Dziadek chyba oszalał! Co to jest, to mają być góry?

– A pamiętacie rok temu? – odparł dziadek. – Cztery godziny szliśmy lasem pod górę. To wyglądało prawie dokładnie tak samo! Las, piach i pod górę!

– Ale na górze były widoki!

– Widoki też będą. Obiecuję! – rzekł z emfazą dziadek. – A teraz jazda na dół!

Dwie godziny później zastała babcia. Stwierdziła, że ma już dosyć i wraca.

– Teraz jesteśmy w górach – przypomniał jej dziadek. – Ale pozwolę ci zejść ze szlaku, jeśli podpiszesz to... – i podsunął jej jakiś papier wyjęty z plecaka. Babcia podpisała, nawet nie czytając, i z ulgą zdjęła plecak.

– Nawet babcia nie przeczytała co podpisała?! – krzyknął tata Łukasza.

– A co mi tam – jęknęła babcia.

– Co to było? – zapytała zaciekawiona mama Łukasza.

– Rachunek za ratowników i za użycie śmigłowca. Przypominam, że jesteśmy w górach – dziadek był bezlitosny. – A teraz migiem mi na dół!

Kiedy dziadek uznał wreszcie, że weszli na szczyt, zawołał ich do siebie. Rozłożył na kolanach album z fotografiami Tatr i zaczął go kartkować.

– To mają być te widoki??? – tata Łukasza nie krył zdumienia.

– Przecież obiecałem! Zresztą w prawdziwych Tatrach ze szczytu widać tylko kawałek okolicy, a my możemy sobie obejrzeć całe Tatry naraz. Jaka oszczędność! A teraz wszyscy powtarzamy to – i podsunął im pod nos kartkę.

Wszyscy zgodnie wyrecytowali:

– Jak w tych górach pięknie!

Mama zaproponowała, że na dziś tych górach wystarczy i żeby wracali.

– Proszę bardzo. Wchodziliście cztery godziny, to na zejście... powiedzmy trzy. Jazda na dół!

Hiobowscy posłusznie drapali się w dół lub w górę zwirowego zbocza. Babcia leżała w cieniu drzew i głośno sapała. Słońce mocno przypiekało i siostra Łukaszka w pewnym momencie stwierdziła, że wypita cały zapas wody, jaki wzięła ze sobą.

– Nie ma sprawy – dziadek wyjął z plecaka butelkę zimnej wody. – Ja będę schroniskiem. Kosztuje... – i podał trzykrotność ceny sklepowej.

– Dziadek chce mi ją sprzedać? – zdumiała się siostra. – I to za taką kasę?

– Jesteśmy w górach, przecież wam obiecałem!

Siostra, milcząc ponuro, zakupiła u dziadka wodę i popijała ją bardzo oszczędnie.

W końcu dziadek uznał, że zeszli z gór. Zapakowali się do samochodu, opatrzyli odciski i ruszyli do domu.

– Popatrz tylko, Stasiu, jak to ludzie urlop spędzają – powiedział jeden pan ochroniarz do drugiego, zamykając bramę za autem Hiobowskich. – Mają urlop, to płacą grubą kasę, żeby się męczyć i kaleczyć.

– Może szef będzie więcej takich cudaków zapraszał? – zafrasował się Stasio. – Wygląda to na całkiem niezły interes...

Hiobowscy wyjechali z lasu na drogę. Opalonej pani już nie było.

– Mogliśmy jednak jechać nad to morze – powiedział słabym głosem tata Łukaszka.

– Nad morze też mogę wam zorganizować – dziadek dumnie wypiął pierś. – Kto chce?

– E tam, miało być jak w górach... – mruknęła zniechęcona siostra Łukaszka.

– No co, nie było? Było prawie-prawie! To co z tym morzem? Obiecuję, że będzie jak nad morzem! – oświadczył dziadek.

– No, skoro dziadek obiecuje, to ja się zgadzam – powiedziała mama Łukaszka.

– A będzie plaża? – zapytała siostra Łukaszka i też się zgodziła, gdy dziadek jej tę plażę obiecał. Babcia również się zgodziła, pod warunkiem, że nie będzie dla niej żadnych dodatkowych opłat, jak tu, w przypadku zejścia ze szlaków. Dla innych mogą być...

– Ja się absolutnie nie zgadzam – powiedział tata Łukaszka. – Dziadek ma u mnie taką krechę... Ja już dziadkowi w tej kwestii nie wierzę!

– Ja w ogóle dziadkowi nie wierzę. Dorosłym nie można – wciął się Łukaszek.

– Nie chcę z wami nad żadne morze. Wolę pograć z chłopakami w nogę.

– To co z tą wycieczką? – zapytała mama Łukaszka.

– Nie będzie. Rozmyśliłem się – powiedział dziadek i założył ręce za głowę. – Ale warto było spytać.

BAZAR FATTERS

CZĘŚĆ 1

Tak się złożyło, że niedawno Łukaszek był świadkiem gorszących scen, kiedy to bili się dorośli. Sceny zaszły w odstępie kilku dni na nielegalnym bazarze na skrzyżowaniu ulic. Przez dłuższy czas handlowano na nim warzywami. Jednak właściciele owych straganów handlowali tam „na żywioł”, bez żadnych zezwoleń i pozwoleń. Straż miejska co pewien czas wlepiła im mandaty, aż wreszcie bazar stał się miejscem zdecydowanej akcji.

Akurat tata Łukaszka prowadził syna do dentysty. Łukaszek czepiał się każdej możliwości, aby opóźnić dotarcie do celu, tak więc – gdy zobaczyli zadymę na bazarku – musieli się zatrzymać.

Na bazarku pojawili się urzędnicy w otoczeniu oddziałów straży miejskiej. Nakazali handlującym usunięcie straganów.

– Mowijcie nie ma! – zakrzyknęli dziarsko handlujący i doszło do zwarcia. Z trzaskiem runęły stragany, owoce i warzywa wysypały się na piękny chodnik z najtańszego pozbruku. Urzędnicy się wycofali i z bezpiecznej odległości obserwowali walkę wręcz. Siły były wyrównane, bo na przykład z jedną krępką kobietą zmagano się tylko trzech rośliwych strażników. Wszystko tam było. I szarpanie, i wykręcanie rąk, i wtłaczanie w chodnik, i wyłamywanie palców, i wyciąganie się z samochodów, i wciskanie twarzy w stertę pomidorów, i twarze czerwone, wysiłkiem nabrzmiałe, i łzy wyciskane, i głos histerycznie wibrujący...

– Czad – powiedział Łukaszek, który gdzieś zniknął, a teraz wrócił ze zdobyczym słonecznikiem i skubał pestki. – Pierwszy raz widzę, jak się dorośli leją. To znaczy, widziałem wcześniej na filmach, a pierwszy raz w realu. Nawet nieźle im to idzie.

Tata Łukaszka bardzo się oburzył.

– Jaki czad?! Jakie nieźle?! Czy ty w ogóle wiesz, o co tu chodzi?! – krzyczał tata.

– Jezus!!! – krzyczeli jeszcze głośniejsi handlujący, którzy wyraźnie przegrywali ze strażą miejską. – Pozbawia się nas miejsc pracy! Nas, awangardę kapitalizmu! Gestapo! Zomo!

Gapie, do tej pory w milczeniu i masowo filmujący zajście telefonami komórkowymi, obruszyli się. Co prawda, padło parę głosów, że inni kupcy muszą płacić podatki, ZUS, czynsz i opłaty targowe, a ci tego nie robili, więc można by to nazwać oszustwem. I że bezprawnie zajęli własność miasta w postaci chodnika. Ale te głosy utonęły w powszechnej krytyce akcji straży miejskiej.

– Czy oni coś ukradli? Ukradli coś komuś, pytam się?!

– Inni kradną więcej i nikogo to nie obchodzi!

– Czepiają się biednych kupców, bo innych boją się ruszyć!

– Straż to tylko bić potrafi! Zostawcie ich! Ludzie chcą zarobić!

– Mundurowi to faszyści odreagowujący kompleks małego członka!

Handlujący podziękowali za solidarne poparcie. Najgłośniej wyrażała je grupa krawcowych z punktu usługowego w bloku na narożniku.

– Dziękujemy bardzo, patrzcie co ten reżim z nami wyprawia! – krzyczeli kupcy. – Dziś my, jutro wy!

– Widzimy, pamiętamy! Przecież wy nikomu nie przeszkadzacie! – od-krzyknęły krawcowe.

– Ojej, to ja nie kupię sobie taniej ogórka? – wyjąkała cicho stojąca z boku staruszka, ściskająca kurczowo pustą, parcianą, antyczną – bo ponad trzydziestoletnią torbę.

Protesty nie zdały się na nic. Handlarzy zapakowano do samochodów, stragany uprzątnięto. O incydencie przypominały tylko: tłum podekscytowanych gapiów, plamy po owocach na chodniku i łupiny po pestkach słonecznika.

– A właśnie, dlaczego ty jesz słonecznik?! – ocknął się tata Łukasza. – Przecież jesteśmy umówieni do dentysty! Specjalnie w domu umyłeś zęby przed wyjściem! I co teraz zrobimy?!

– Tak na pewno nie mogę iść – zasmucił się szczerze Łusaszek prezentując czarne od pestek uzębienie.

No i trzeba było przełożyć wizytę.

SIOSTRA, KONCERT I KOLEŻANKI

Siostra Łukaszka siedziała u swojej koleżanki i malowały razem paznokcie. U koleżanki było łatwiej – prawie cała rodzina wyjechała i chata była wolna. Zupełnie inaczej było u Hiobowskich – co chwila ktoś się pętał po mieszkaniu, przeszkadzał i komentował. Z ulgą wyniosły się więc do koleżanki, gdzie mogły ze spokojem rozłożyć wszystkie akcesoria i przystąpić do malowania. Były tylko one i grające w tle radio.

– Łomajgaaaaad... – dał się spiker w radiu. – To ona! Cesarzowa popu! Już ląduje! Łączymy się z naszym specjalnym wysłannikiem...

– Witam – powiedział jakiś zduszony głos. – Właśnie leżę w trawie obok pasa na Okęciu. W mrowisku. Samolot z przewspaniałą piosenkarką właśnie ląduje... ląduje... o Boże, mówię państwu, co za napięcie... I... Jest!!! Koła dotkły asfaltu!!! Samolot wylądował!!! Ona jest już w Polsce!!! Powi... i... a...

– Czy wszystko w porządku? – zaniepokoił się pierwszy spiker. – Nie przejechał cię samolot? Bo jakoś tak dziwnie mówisz...

– Nie... – zachichotał dzielny korespondent. – Mrówka weszła mi do...

Siostra i jej koleżanka zarżały głośno.

– A właściwie dlaczego nie pojechałaś na ten koncert? – zapytała siostra Łukaszka.

– Bo nie mam kasy. Niedawno byłam na tym festiwalu, na którym wszystko wolno, a jeszcze wcześniej na koncercie tej grupy rockowej, na którym trzeba było być... Byłaś?

– Nie – powiedziała siostra jakoś tak wstydliwie. – Bo mój chłopak nie chciał...

– Ja pierdykam – koleżance tak się zatrząsły ręce, że aż zmywacz rozlała. – Ty się za bardzo dajesz temu swojemu facetowi. Weź przykład z Samanty. To jest laska! Zawsze ma fajki i poczęstuje. Na browca czy drinka też można z nią iść. A z facetami to robi, co chce. A ty się tak dajesz... A na tą najbardziej znaną piosenkarkę też nie pojechaliście...

– Brak nam kasy – popisała się reflekssem siostra.

– No, mój brat wziął kredyt na bilety. Chwilówkę – poinformowała ją koleżanka.

– Witamy kolejną słuchaczkę!! – zagulgotało radośnie radio. – Wymień tytuły trzech utworów cesarzowej popu i otrzymasz bilet na jej koncert!

– Jejku!!! Jejku jejku!!! – ekscytowała się słuchaczka. – No więc... Y... „Revenge” i... E... A mogę zanucić?

– Przecież ona działa na rynku ponad trzydzieści lat, ma na koncie setki przebojów! My sami gramy dwadzieścia jej piosenek! – lekko irytował się prowadzący. – Żadnego innego nie pamiętasz?

– A ty pamiętasz? – zapytała koleżankę siostra.

– No, „Revenge” i... No, pamiętam, jak one lecą, ale tytułów nie... Zresztą ja mam papiery na dyspamięć! – zastrzegła się koleżanka.

– A wiesz co – powiedziała siostra tonem typu „Zaraz wyjawię ci wielki sekret”. – A wiesz, o czym jest piosenka „Revenge”?

– Nie... – odpowiedziała tym samym tonem koleżanka. – No przecież to w obcym języku, to skąd mogę wiedzieć?

– Mój chłopak mi przetłumaczył... Początek leci tak: „Zarżnę twoją starą i przejadę ją koparą”.

Zapadła cisza.

– Przecież to strasznie głupie – oburzyła się koleżanka. – A skoro puszcza ją w radiu i telewizji, to nie może być głupie, no nie? Chyba ten twój chłopak jaja sobie robi. Oj, żeby on trafił na Samantę, to ona by mu pokazała...

– No właśnie, a co u Samanty? – zapytała siostra Łukaszka.

– Nic nie wiem. Na imprezy nie chodzi, nie dzwoni, nie esemesuje... Chora może czy co?

– No, w końcu ma już te dwadzieścia trzy lata, starość nie radość...

– Niestety, gwiazda uciekła swoim fanom – relacjonował spiker radia. – Skorzystała tylko z toalety i uciekła bocznym wyjściem. Na szczęście był na miejscu nasz kolejny korespondent. Czy udało ci się zamienić choć dwa słowa z cesarzową popu?

– Tak, i to dokładnie dwa – głos korespondenta drżał z dumy. – Powiedziała do mnie: „fuck off”!

– Dobra, muszę już lecieć – siostra pożegnała się z koleżanką. Kiedy wychodziła, w radiu akurat rozstrzygano konkurs, czy najbardziej znana piosenkarka miała jakąś styczność z naszym krajem. Prawidłowa odpowiedź brzmiała: trzynaście lat temu naszego rodaka, który kładł płytki w budzie jej psa, oskarżyła o kradzież platynowej psiej miski.

W domu Hiobowscy oglądali jakąś defiladę. Kłócili się jak zwykle, bo Łukaszek zauważył, że zamiast czołgów pokazują jakichś starych dziadów.

– Żeby pokazywać czołgi, najpierw trzeba je mieć! – śmiała się serdecznie babcia. – Ile można remontować T-34?

– Gdyby nie te stare dziadki... – grzmiał oburzeniem dziadek.

– To defilada z okazji przyjazdu piosenkarki? – wstrzeliła się z pytaniem siostra. Udało jej się zjednoczyć rodzinę, która jednomyślnie odesłała ją do jej pokoju.

Siostra Łukaszka włączyła komputer i weszła do Internetu. Pomyślała o Samancie i wpisała jej ksywę z osiedla. Spośród wielu stron zwrócił jej uwagę odnośnik prowadzący do portalu randkowego. Kliknęła.

Najpierw musiała zamknąć szalejącą po całym ekranie reklamę. Absolutnym hitem były właśnie wystawione na aukcję fiołki z moczem piosenkarki pobranym z lotniskowej toalety. Ludzie licytowali jak szaleni.

Kiedy wreszcie wyświetlił się profil owej dziewczyny, siostra zaczęła go studiować ze zmarszczonym czołem. Ksywa się zgadzała. Wiek też. Miejsce zamieszkania też. Była i fotka... Kliknęła. Na powiększonym zdjęciu była młoda dziewczyna. Wyglądała bardzo podobnie do Samanty. Ale jakoś tak

dorożej, czyściej, bardziej elegancko. Miała inną fryzurę. I miała garsonkę. Samanta nigdy nie założyłaby garsonki! Dalszy opis był jeszcze dziwniejszy. „Papierosy: nie palę” – a przecież Samanta kopciła jak lokomotywa! „Alkohol – nie piję” – a przecież Samanta ciągnęła jak smok! „Cel anonsu: mam już dość tego pustego życia, szukam tego jedyne...”.

– Jedyne? – pomyślała siostra. – Przecież ona facetów to jak lokomotywa i smok razem...

Siostra podparła brodę pięściami i usiłowała zrozumieć, co się stało z Samantą. Myślała tak intensywnie, że aż jej zaczęło iskrzyć w głowie.

– Pokazują początek koncertu tej piosenkarki – do pokoju zajrzał Łukaszek. Siostra standardowo go opierniczyła, że nie zastukał, i poszła zobaczyć.

Najpierw był skrót z pobytu gwiazdy i przygotowań do koncertu. Wywiad z fanami, którzy od dwóch tygodni koczowali w miejscu koncertu. Że trzeba być na jej koncercie. Reportaż o tym, że coraz więcej dzieci w Polsce nosi takie imię jak piosenkarka. Że trzeba być na jej koncercie. Co nasze gwiazdy sądzą o niej. Że trzeba być na jej koncercie. Jaka będzie pogoda podczas koncertu. Że trzeba być na jej koncercie. Jakie będą specjalne pociągi i autobusy. Że trzeba być na jej koncercie. I o tym, że trzeba być na jej koncercie.

Wreszcie pokazano miejsce koncertu.

– Pokażemy państwu tylko przywitanie gwiazdy – mruczał łagodny baryton. – W końcu jest to najważniejsze wydarzenie tego dnia, miesiąca, a nawet i roku. Ileż można żyć historią, rozdrapywaniem ran, przeszłością. Nudy i tyle. Ludzie chcą się bawić! Europa, świat na nas patrzy! Musimy być gotowi i nowocześni, a wtedy świat nas przyjmie i zaakceptuje! Proszę, jak ludzie machają biało-czerwonymi flagami na trybunach, jak się cieszą i wiwatują! Oto wychodzi piosenkarka! Niech nas zobaczy! Nie skwaszonych, kłócących się o to, co było, spierających się z sąsiadami! Niech nas zobaczy wesółych, nowoczesnych, normalnych!! Niech nas zobaczy i zapamięta!!!

Piosenkarka podeszła do mikrofonu. Spojrzała na wielotysięczny tłum machający polskimi flagami i zawołała wesoło:

– Hello, Russia!



ROCZNICA PEWNEGO PAKTU

Tego dnia ta rocznica atakowała właściwie zewsząd. Siostra Łukaszka była w furii, ale o rocznicy podpisania paktu Ribbentrop-Mołotow było nawet na kanale muzycznym.

– Niemożliwe! – zdumiała się babcia i pofatygowwała się zobaczyć. Niemiecki zespół techno Motorover popełnił piosenkę o tytule „Ribbentrop-Molotov”.

– Ribbentrop!!! Molotov!!! – ryczał do mikrofonu wysoki blondyn. To był cały tekst, ale za to wielokrotnie powtarzany. Na parkiecie podrygiwał tłum do rytmu ostrych bitów.

– Czy wy wiecie, o czym jest ta piosenka? – po niemiecku pytał podrygujących jakiś gość z mikrofonem.

– To o takich dwóch gościach, którzy podpisali pokój – powiedziała jakaś dziewczyna z kłódką w nozdrzu i szafirowymi włosami. – Pokój! Niech żyje pokój!

I tak cały telewizyjny świat cieszył się z tego wydarzenia.

Kulminacyjnym punktem tych obchodów była wielka, masowa uroczystość na Zeppelinfeld pod pomnikiem Przepędzonych.

– Był to kolejny, po monachijskim, traktat niosący Europie pokój – mówił przedstawiciel Niemiec. Obok niego stali przedstawiciele Rosji, Francji i Wielkiej Brytanii, a z tyłu, stał samotnie przedstawiciel Polski, przedstawiciele innych krajów: Czech, Słowacji i krajów bałtyckich nie przyjechali.

– Pan jednak przyjechał – powiedział do przedstawiciela Polski jakiś polski dziennikarz. Dziennikarz był bardzo młody i nie miał jeszcze doświadczenia, jakie pytania można zadawać, a jakich nie.

– Cóż – uśmiechnął się kwaśno przedstawiciel Polski. – Skoro nie mamy nic konkretnego do zaoferowania na arenie międzynarodowej, to chociaż bądźmy przyjaźni i sympatyczni. Zresztą... Od jednych bierzemy ropę i gaz, a drudzy nam budują autostrady... Sam pan rozumie, że nie możemy ich obrazić...

– Podkreślmy zatem jeszcze raz – perorował dalej przedstawiciel Niemiec. – Pakt ten był paktem pokojowym. Pokój ten może i miał wysoką cenę, ale w tamtych czasach była to konieczność. Długo się zresztą nie utrzymał i został zerwany przez awanturnicze postępowanie Polski. A przecież Hitler nie chciał źle. Czy w trzydziestym trzecim roku Niemcy zniknęły z Europy? Oczywiście nie! W trzydziestym szóstym cały świat bawił się u nas na igrzyskach olimpijskich! I co, źle było? Poza tym Adolf Hitler miał wiele dobrych idei. Uzdrowił gospodarkę, dał pracę milionom Niemców w fabrykach zbrojeniowych! Zjednoczenie Europy to też jego pomysł! I nie był jakimś tam potworem. Był wegetarianinem i miał jedną żonę. I co, trzymał ją w piwnicy, jak to Austriacy mają w zwyczaju? Bunkier, to nie piwnica, przypominam... Gdyby był taki

straszny, to przecież nie byłoby nas tu, na wiecach, na Zeppelinfeld! Miliony Niemców nie mogli się mylić!

Przedstawiciele Rosji, Francji i Wielkiej Brytanii zaczęli klaskać. Przedstawiciel Polski nie. Przedstawiciel Niemiec obejrzał się do tyłu na przedstawiciela Polski i ten gorliwie zaczął bić brawo.

– To, co się działo później, po tym pakcie, to zupełnie inna sprawa – kontynuował przedstawiciel Niemiec. – Chcemy, oczywiście, pamiętać o historii, pokrótce ją teraz przedstawiłem. Ale nie ma sensu wracanie do przeszłości po to, aby gnębić Niemcy!

Przedstawiciel Rosji dopowiedział coś z boku.

– Albo żeby gnębić Rosję! – dodał pospiesznie przedstawiciel Niemiec i serdecznie uściśnął dłonie przedstawicieli Rosji, Francji i Wielkiej Brytanii. Dłoni przedstawiciela Polski nie uściśnął, bo były zajęte. Przedstawiciel Polski trzymał tacę z kieliszkami.

– Prosit! – i przedstawiciele Niemiec, Rosji, Francji i Wielkiej Brytanii wzniesli toast. Przedstawiciel Polski toastu nie wznosił, bo po pierwsze nadal miał ręce zajęte tacą, a po drugie – nie było dla niego kieliszka.

Sierpniowe słońce pięknie zamigotało na szkle kieliszków ozdobionych napisem „Polskie Huty Szkła, 1938 rok”.

W studiu telewizyjnym zaproszeni fachowcy: piosenkarka, kierowca rajdowy i stylistka mody płakali ze szczęścia, że wreszcie nas lubią w Europie.

Hiobowscy siedzieli w ponurym milczeniu. Tata Łukaszka nie przełączał nawet kanałów. I tak na wszystkich było to samo. Z jednym drobnym wyjątkiem: na jednym kanale przewijał się pasek z napisem: „Lubią nas!!! Cieszymy się!!!”.

– Wiecie co... Dzieje się coś dziwnego... – powiedziała wystraszonym głosem siostra Łukaszka.

– Co takiego?

– Dziadek się nie denerwuje – powiedziała scenicznym szeptem siostra.

– No właśnie – zaskoczeni Hiobowscy spojrzeli na dziadka. Dziadek siedział spokojnie w fotelu i pił drobnymi łykami herbatę.

– Dziadek się nie denerwuje? – zapytał tata Łukaszka.

– A czym?

– No... Że Niemcy i Rosjanie... Że Polskę...

– E tam – powiedział dziadek z podejrzanym spokojem. – Czym ja się mam przejmować? Siedzę na szwedzkiej kanapie, oglądam koreański telewizor i piję z chińskiego kubka. Polski nie ma. Niech se Ruski z Niemcami przychodzą.

– Niby, że nas napadną? – zakpiła babcia.

– Kto tu mówi o napadaniu? – zdziwił się dziadek. – Po co? A jest tu jeszcze coś polskiego? Jakaś fabryka, bank, medium lub posiadłość ziemska? Nie muszą nas napadać. Już nie muszą. Po prostu nas kupili – rzekł tragicznym głosem i upił łyk herbaty, odginając wytwornie kciuk. – A najgorsze w tym wszystkim, że kupili nas za psie pieniądze, tak, że nawet z tej sprzedaży nic nie ma.

RÓWNI FACECI

Zaczynamy wiadomości i od razu prosimy, aby dzieci odeszły do telewizorów. Pokażemy drastyczne zdjęcia... – poprosił drżącym głosem spiker dziennika. W mieszkaniu Hiobowskich rozległ się tupot i po chwili kanapa ugięła się pod ciężarem całej rodziny.

Faktycznie, materiał, który pokazano w telewizji, szarpał nerwy. Pokazano konie trzymane w naprawdę skandalicznych warunkach.

– To nieprawda – twierdził z butą jakiś facet, jak się później okazało, właściciel stada. – Owszem, Unia Europejska płaci za posiadane konie, ale u mnie nie mają źle. To normalne, że tak jest w stajni.

Hiobowscy, mając świeżo pod powiekami obrazy z wnętrza stajni, nie mogli uwierzyć, że te warunki można określić mianem normalnych.

– Czy te warunki są normalne, zapytaliśmy eksperta – oznajmił energicznie spiker.

Nie, nie był to weterynarz. Nie był to też naukowiec. Ekspertem był aktor, który lubi zwierzątka.

– Fajny jest ten aktor, lubię go – ucieszyła się siostra Łukaszka. – To równy facet!

– Równy to jest Gruby Maciek, a nie... – zaczął Łukaszek, ale pozostali uciszyli go, psykając nerwowo.

– Wiem, skąd to się wzięło, to bestialstwo – odpowiedział z dużą pewnością siebie aktor, uśmiechając się do kamery. – Otóż w naszym kraju dominuje pewna religia. Religia ta utrzymuje, że zwierzęta nie mają duszy. W rezultacie oczadziały tą ideologią wiejski ciemnogród mści się na zwierzętach za swoje porażki życiowe...

Hiobowskich zatkało, ale przeprowadzający wywiad reporter zdołał skontrować:

– Ale przecież... Właścicielem tego stada jest facet z miasta, i to polityk należący do partii ateistycznej! – i padło nazwisko właściciela stada.

– No coś pan – zdziwił się aktor. – Ten gość? Przecież to równy facet...

U Hiobowskich wybuchła dyskusja, czy człowieka znęcającego się nad zwierzętami można nazwać równym facetem. I czy polityk w ogóle może być równym facetem.

– Oczywiście! – zakrzyknęła mama i rozłożyła trzymany akurat w rękach lokalny dodatek do „Wiodącego Tytułu Prasowego”.

– Co? Znowu ten pajac? – powiedział tata Łukaszka na widok fotografii wiceprezydenta miasta.

– Jak możesz tak mówić o człowieku z taką biografią! – oburzył się dziadek.

– Biografia biografią, ale przecież to głupek – wyjaśniła z politowaniem babcia. – Za co się zabierze, to schrzani, na szczęście nie powoduje zbyt dużych szkód, bo znany jest z tego, że wszystko zawala i nie dotrzymuje słowa...

– No i właśnie o tym jest ten artykuł! – zawołała triumfalnie mama Łukaszka.



Artykuł był o tym, że redakcja lokalnego oddziału „Wiodącego Tytułu Prasowego” założyła się z wiceprezydentem miasta. Wiceprezydent znowu nie dotrzymał słowa i przegrał. W związku z tym musiał zrobić to, co nakazał mu zwycięzca – czyli redakcja. Pokazano zatem na zdjęciach, jak w środku dnia wiceprezydent chodzi po rynku miejskim w stroju kłowna.

– Nie spękał – donosił z satysfakcją lokalny dodatek. – Równy facet! Dotrzymał słowa!

ĆWIERĆKOLONIE

CZĘŚĆ 10, OSTATNIA

Trzeba powiedzieć sobie szczerze, że Łukaszek nie zawsze uczęszczał na ćwierćkolonie. A to wyjechał z rodzicami na krótki wypad, a to wypadł z kolegami na krótki wyjazd.

– No i nazbierało się nieobecności... – powiedziała z jakąś taką satysfakcją starsza gruba pani.

– Khe... Khm... – powiedział niewyraźnie tata Łukasza i popatrzył na nią błagalnie. – Ale jak ja nie dostanę potwierdzenia, że mój syn chodził na ćwierćkolonie, naszej rodzinie odbiorą samochód, zniżki na komunikację, renty i emerytury.

– No to wie pan, co robić? – starsza pani uśmiechnęła się szeroko. Tata Łukasza wiedział. Zaszeleściły przekazywane z ręki do ręki papierki. Starsza gruba pani podpisała stosowny dokument i wręczyła go tacie Łukasza.

Tata Łukasza wyszedł na korytarz i przebił się przez długi ogonek innych rodziców.

– Słyszeliście państwo...? – przez kolejkę przelatywał szept. – Podobno na naszym osiedlu są premier z ministrem zdrowia... Testują boiska na Orliku...

– Idzie pan zobaczyć?

– E, co to za atrakcja... Jeżdżą po całym kraju, już ich cztery razy widziałem...

Tata Łukasza wyszedł przed osiedlowy dom kultury i zawołał syna.

– Chcesz iść zobaczyć premiera?

– A co robi premier? – zapytał Łukaszek.

– Rządzi – odparł bez przekonania tata Łukasza. Łukaszek powiedział, że może zobaczyć i poszli na boiska.

Na jednym z małych boisk dwóch panów w sportowych strojach podawało sobie piłkę. Boisko otaczało kilku innych panów.

– O, widzowie – powiedział jeden z nich. – Chcecie zrobić sobie zdjęcie z premierem? Za dychę.

– To jest premier? – zapytał Łukaszek.

– To premier Schegorz-Grzetyna – jeden pan pokazał jednego z kopiających. – A obok to minister zdrowia Tunald-Dosk.

Przy ulicy stała budka z hot-dogami.

– O, hot-dogi! – ucieszył się minister zdrowia Tunald-Dosk. – Kupmy sobie! Z musztardą!

– Zapominasz o sondażach – skarcił go premier. – Większość ludzi woli z keczupem.

– No to kupmy z keczupem! O, wyborcy – zorientował się minister zdrowia.

– To jest premier? – upewnił się Łukaszek. – Mówiłeś, że premier rządzi...

– Tak myślałem – rzekł ponuro tata Łukasza.

– Rządzimy, oczywiście, że rządzymy! – pospieszył z wyjaśnieniami minister zdrowia.

– Widziałem dzisiaj wiadomości – powiedział tata Łukaszka. – W Rosji kręca film, że szesnastego września trzydziestego dziewiątego roku Polacy opanowali radiostację we Władywostoku. Czy Polska jakoś odpowie?

– No co pan, nie będziemy angażować autorytetu całego kraju w takie podwórkowe przepychanki – odparł z godnością premier, postawił stopę na pilce i o mało się nie przewrócił. Dzięki kilku gwałtownym ruchom rąk udało mu się utrzymać równowagę.

– Jakie przepychanki?! To jest bardzo ważne! – krzyknął tata Łukaszka i tym samym dał znak, że nie należy do elektoratu premiera i ministra.

– Rządzimy, i to dobrze! – zaatakował niespodziewanie minister zdrowia.

– Nie było jeszcze tak skutecznych rządzących!

– O, jeden taki był! – zaprotestował tata Łukaszka. – Ludwik Szesnasty!

WAKACYJNY WEEKEND

CZĘŚĆ 3, OSTATNIA

Siostra Łukasza była wniebowzięta. Jej chłopak, jej skromny, nieśmiały chłopak zaprosił ją na randkę.
– Wreszcie!!! – triumfowała siostra w zaciszu swojego pokoju. – Wreszcie seks!!!

Co więcej, utwierdził ją w tym fakt, że kiedy chłopak po nią przyjechał, miał ze sobą niewielki plecak, a w plecaku koc.

– Po południu skoczmy na łono natury – zaproponował chłopak siostry. Siostra zrozumiała z jego wypowiedzi tylko dwa pierwsze i przedostatni wyraz i jeszcze bardziej się ucieszyła.

Jakież więc było jej zdumienie, gdy jej chłopak zabrał ją na koncert do jednego z miejskich parków.

– Będzie disco? – chciała się upewnić siostra.

– Nie disco, tylko muzyka! – obruszył się jej chłopak.

Na koncercie wystąpił niszowy, kultowy artysta z zagranicy. Artysta był niezwykle ekologiczny. Wszystkich dwunastu kucharzy, których przywiózł ze sobą, gotowało ekologiczne potrawy. Dwieście osób ekipy technicznej podróżowało autobusami napędzanymi ekologicznym paliwem. A sam artysta kazał zbadać ekologiczność swoich koncertów. Okazało się, że olbrzymia



ilość prądu, która jest potrzebna do koncertu, nie emituje na szczęście żadnych groźnych zanieczyszczeń. Słuchacze mogli się więc spokojnie oddać słuchaniu muzyki.

Siostra nie rozumiała angielskiego, poza paroma najpopularniejszymi zwrotami. Zrozumiała jednak, że te piosenki są smutne. Co gorsza były długie i w wolnym tempie. Tłum słuchaczy przyjmował je jednak entuzjastycznie. Siostra nic z tego nie rozumiała. Jej chłopak chyba też, bo po dziesiątej piosence zalecił opuszczenie imprezy. Wyszli z terenu ekologicznego koncertu, klucząc pomiędzy stertami śmieci i porzuconych plastikowych kubków po piwie.

Potem udali się do drugiego parku, gdzie wreszcie rozłożyli koc. Ale i tam do niczego nie doszło, bo chłopak siostry zaofiarował się, że skoczy po coś do picia. Ledwo powiedział – już go nie było.

– Co za głupek – fukała siostra, która wskoczyła w bikini i próbowała ułożyć się wygodnie na kocu. I kiedy wreszcie jej się to udało, na jej twarz padł cień. Cień należał do faceta w średnim wieku, w kufajce, ściskającego pod pachą kosę spalinową.

– Czego? – zapytała uprzejmie siostra Łukaszka.

– Pani mi zajmuje pole do działania – oświadczył urażonym głosem facet. – Ja tu mam florę usuwać tą oto kosą! A pani mi tu zawadza! Niech pani idzie, to ja będę mógł florę usuwać!

– To gdzie ja mam iść? – zapiszczała oburzona siostra.

– Weź pani ten koc i idź se w krzaki – zaproponował facet w kufajce.

Wybuchła kłótnia. Jakimś dziwnym trafem losu przy kłócej się parze zjawił się patrol policji. Funkcjonariusze spojrzeli na siostrę w bikini, na faceta w kufajce i już na wstępie facet w kufajce zaczął ostro przegrywać.

– Co tu się dzieje? – zapytał jeden z policjantów.

Odpowiedź siostry Łukaszka brzmiała:

– Ten pan proponuje, żebym wzięła koc i poszła w krzaki, a on mnie zdefloruje!

SZKOŁA I ROCZNICE



ziś pierwszy dzień września – powiedział uroczysto dziadek Łukaszka. – Ważny dzień! Rocznicą!

– Waryński założył pierwszą partię socjalistyczną! – krzyknęła rozanielona babcia i wyprowadziła z równowagi dziadka, który krzyczał o międzynarodowych zdrajcach.

– Widzę, że jedno wydarzenie są mile widziane, a inne nie – zauważyła z przekąsem mama Łukaszka. Siedziała przy stole, chłonąc wielki artykuł na pierwszej stronie – list od przywódców sąsiednich mocarstw. List nosił tytuł „Wybaczamy wam!”.

– A w gazecie, którą czytają moi starzy, na pierwszej stronie jest zupełnie coś innego – powiedział zdumiony Gruby Maciek. – Mogę pokazać...

I sięgnął do torby, po czym wyjął jakieś zawiniątko. Rozwinął je i podał papier tacie Łukaszka. Była to właściwie okładka pisma „To, Co Jest”. Pod drobnym napisem „Tworzymy opinie: tylko u nas najwybitniejsi Polacy o wybuchu wojny – strony 2 i 3” było wielkie zdjęcie jakiegoś zabandażowanego faceta leżącego w szpitalnym łóżku i tytuł: „Boże, szwagier wbił mu gumiaka w głowę! Mógł umrzeć!!! Wszyscy umrą!!!”.

– Zabierz to... – tata z jakimś takim obrzydzeniem oddał papier Grubemu Maćkowi, ten zawinął z powrotem swoje rzeczy, a tata Łukaszka zainteresował się nagle: – A właściwie co ty tam masz, chłopcze?

– Kapsie – wyjaśnił lakonicznie Gruby Maciek. – Do szkoły.

– Szkoła!!! – złapali się za głowę Hiobowscy. – Która godzina?! Spóźnicie się!

– Spokojnie – rzekł Łukaszek. – Dzisiaj jest tylko uroczyste otwarcie.

– To po co on niesie kapsie już dzisiaj? – spytał podejrzliwie tata Łukaszka.

– Przecież wuefu dzisiaj nie będzie!

– Schowam se do szafki – wyjaśnił Gruby Maciek.

– Do jakiej szafki? Macie szafki???

– Y... No bo... – tłumaczył Łukaszek. – Bo pan dyrektor powiedział we wakacje, że nie otworzy szkoły. Bo pani minister szkodnictwa... E... Szkolnictwa... – poprawił się Łukaszek. – Wydała rozpo... Coś tam.

– Rozporządzenie. Pamiętam – wtrąciła się mama Łukaszka. – Każda szkoła miała zapewnić uczniom szafki, ławki, stołówkę i...

– No i pan dyrektor powiedział, że nie ma kasy i nie otworzy szkoły – kontynuował Łukaszek.

– Nic o tym nie wiemy! Nic nam nie powiedziałeś! – krzyczeli Hiobowscy.

– No bo specjalnie nic nie mówiłem – przyznał Łukaszek. – Umówiliśmy się, cała szkoła, że nikt nie mówi rodzicom, bo byłoby fajnie, gdyby szkoły nie utworzyli. Ale jakieś głupki powiedziały. I część rodziców cały sierpień zasuwała w szkole. Robili szafki... Malowali ściany... No i otworzą szkołę – zakończył zrozpaczonego tonem.

– O której jest to otwarcie? – przerwał dziadek.
– Za pół godziny.
– No to trzeba już iść. A najlepiej, jak ja was zaprowadzę – zdecydował dziadek i poszli.

Ledwo zdążyli na czas, bo przejście dla pieszych było zatarasowane tłumem smutnych ludzi. Chodzili po nim w kółko z transparentami „Zalegalizowanie niezależnych od partii i pracodawców związków zawodowych!”, „Podjęcie realnych działań wyprowadzających kraj z kryzysu!”, „Zagwarantowanie wzrostu płac równoległe do wzrostu cen!”, „Wprowadzenie zasady doboru kadry kierowniczej na zasadach kwalifikacji, a nie przynależności partyjnej!”, „Poprawienie warunków pracy służby zdrowia!” czy „Zapewnienie odpowiedniej ilości miejsc w żłobkach i przedszkolach!”.

W szkole skierowano ich do auli. Dziadek siadł sobie wygodnie na krześle w rzędach dla gości, a obaj chłopcy poszli tam, gdzie nad tłumem głów kiwała się tabliczka z napisem „czwarta a”. Była tam już prawie cała klasa, a po chwili zjawiała się młoda pani od polskiego. Ucieszyła się na ich widok, sprawdziła, ile chłopcy urosli, sprawdziła, czy żadna z dziewczynek nie jest w ciąży, i powiedziała, że w tym roku szkolnym ponownie będzie ich wychowawczynią.

– Hurra!!! – ryczała czwarta a, ale zaraz musiała się uciszyć, bo rozpoczęła się okolicznościowa akademicka. Na scenę wyszedł pan dyrektor, powiedział to, co zwykle – że wita, że grono nauczycielskie, że uczniowie, że nauka i że regulamin. Nowością w tym roku było odstonięcie wielkiej kotary, a za nią wisiał wielki telebim.

– Podobno szkoła nie ma pieniędzy – zasyczeli źli rodzice z rzędów dla gości.
– Zaoszczędziliśmy na szafkach – uśmiechnął się pan dyrektor. – A taki telebim musimy mieć. Od dziś będą akademie multimedialne – zerknął na zegarek i zawołał: – A teraz łączymy się z Westerplatte.

Na telebimie pokazała się mównica. Przemawiał przedstawiciel Polski.
– ...tak, Westerplatte to symbol, ale wojna zaczęła się gdzie indziej i trochę wcześniej. Długo trwało ustalanie. Przed Westerplatte był nalot na Wieluń. Przed tym nalotem napad na stację kolejową w Szymankowie...

– Photestuję – odezwała się wysokiej rangi delegatka z Niemiec. – Szymankowo to było Folne Miasto Ktańsk! Tak naprawdę druga wojna zaczęła się trzydziestego pierwszego sierpnia!

– O, a gdzie?

– Jak to gdzie? Gleiwitz!

Ambasadorowie Francji i Wielkiej Brytanii zgodnie stwierdzili, że ta godna pożalowania wojna rozpoczęła się wtedy, gdy przekroczyła zwykłą skalę pożalowania godnych konfliktów granicznych, jakie w tym pożalowania godnym rejonie zdarzały się często. A zatem – wtedy, gdy z tej pożalowania godnej wojny zrobiła się wojna światowa. A było to wtedy, gdy do wojny przystąpił, co było pożalowania godne, cały świat, czyli Francja i Wielka Brytania. A zatem – trzeciego września.

– Ktoś powiedział, że to zwycięzcy piszą historię – powiedział lodowatym głosem bardzo wysokiej rangi przedstawiciel Rosji. – A wojnę wygrał przecież

Związek Radziecki, bo poniósł największe straty. Wojna wybuchła dwudziestego drugiego czerwca.

– Ależ to bez sensu – do mównicy przepchał się pan z długim nosem. – Trudno ustalić jakąś konkretną datę i miejsce, bo antysemityzm był od dawna, i to w całej Europie! No, ale jeśli trzeba kogoś wskazać to... – wyjął jakiś notesik i przekartkował go. – To będzie Szwecja.

– Jak to Szwecja??? – zdumieli się wszyscy.

– A co, zapłacili jednak? – ucieszył się pan z długim nosem.

– Nie, ale Szwecja była neutralna!

– I co z tego... – pan machnął ręką i poszedł, twierdząc, że musi zadzwonić do banku.

Na mównicę wszedł ostatni z zaproszonych gości. Przybysz zza Oceanu Atlantyckiego. Najwyższy rangą szef kucharzy w Białym Domu.

– Jak będziemy tak wyliczać do tyłu, jak Polacy, kiedy zaczęła się ta wojna, to dojdziemy do momentu, gdy po Europie Indianie gonili bizona – powiedział cierpko. – Tu zawsze ktoś z kimś się bił, państwka powstawała i znikała, a każde z nich mniejsze od Nebraski albo nawet Tennessee! Wojna się zaczęła wtedy, kiedy wyszła z Europy, a jej płomień ogarnął cały świat!

– I pewno jest to dzień siódmego grudnia? – zapytał kpiąco ambasador Francji.

– Nie! Czwarty lipca!

– Znowu? – skrzywił się ambasador Wielkiej Brytanii. – Co wy macie z tym czwartym lipca? Co się zdarzyło podczas wojny?

– No wie pan? I pan to mówi?! – obruszył się przedstawiciel USA. – To wtedy wojna przeniosła się na inny kontynent! Wy egoiści, tylko Europa i Europa, a pomyślelibyście o innych! Czwartego lipca tysiąc dziewięćset czterdziestego roku zostały zaatakowane pozycje brytyjskie – tu szef kucharzy w Białym Domu spojrzał ironicznie na ambasadora Wielkiej Brytanii.

– Wielkiej Brytanii? Gdzie?

– W Sudanie! Ataku dokonały wojska włoskie, z Abisynii. Ale gdy mówię: wojska włoskie, to nie oznacza samych Włochów – przedstawiciel USA rzekł patetycznie. – Wielu biednych Abisyńczyków zostało przemocą wcielonych do włoskiego wojska i zmuszono ich do udziału w wojnie, która stała się wojną światową...

– O, przepraszam – obruszył się ambasador Francji. – Mers-El-Kebir miał miejsce trzeciego lipca! A to jest przecież Afryka, chyba pan nie zaprzeczy!

Ambasador Wielkiej Brytanii na hasło „Mers-El-Kebir” taktownie zamilkł. Przedstawiciel USA obrócił się w stronę ambasadora Francji. Po hebanowej twarzy przedstawiciela USA spływała łza, gdy mówił:

– Do końca egoiści! Co z tego, że Mers-El-Kebir jest w Afryce, jak tam nawalały się białasy!

– No wie pan... – szepnęła oburzony ambasador Francji. I po hebanowej twarzy ambasadora również spłynęła łza.

Pani pedagog gwałtownie wyłączyła telebim.

– Y... Tak... – stęknął pan dyrektor. – Według naszych najnowszych ustaleń druga wojna światowa zaczęła się w Jeziorach koło Piły. Podczas ataku

Niem... hitlerowców na placówkę polską w dniu pierwszego września tysiąc dziewięćset trzydziestego dziewiątego roku o godzinie pierwszej dwadzieścia zginął kapral Piotr Konieczka. Cześć jego pamięci!

W auli przez chwilę panowało milczenie.

– Czy ktoś ma jakieś pytania? – tradycyjnie zapytał pan dyrektor.

– Ja! – tradycyjnie odpowiedział Łukaszek. – Czy w tym roku czwarte klasy mają historię? Bo ja się martwię...

Zanim pan dyrektor zdążył cokolwiek powiedzieć, do mikrofonu przepchnął się pan od historii.

– Wy się martwicie? Wy!? A co ja mam, kurde, powiedzieć?!

KONCERT NA ROZPOCZĘCIE ROKU SZKOLNEGO

Pierwszy dzień, pierwsze godziny nowego roku szkolnego. Wszyscy poruszali się po szkole ruchami Browna i usiłowali coś załatwić: uczniowie inny plan lekcji, jedni nauczyciele innych nauczycieli, pan dyrektor wszystko, a pani pedagog koncert.

Pani pedagog wpadła bowiem na znakomity – jej zdaniem – pomysł.

– Szkoła nasza robi się coraz bardziej europejska – mówiła z dumą do pana dyrektora. – Mamy lekcje etyki europejskiej, a nawet powstały klasy o profilu europejskim. Uważam, że to jednak za mało!

– No, co pani powie? – odparł dyrektor, który przerzucał jakieś papiery i słuchał jednym uchem.

– Więc panie dyrektorze zróbmy coś bardziej młodzieżowego! – nalegała pani pedagog. – Niech pan zobaczy, czego dzieci słuchają!

– Nie mówi się „zobaczyć, czego słuchają”, tylko „posłuchać, czego słuchają” – rzekł z lekką przyganą w głosie pan dyrektor i zakończył ją głośnym piskiem. Następnie desperacko rzucił się do swojego komputera, ale było już za późno. Pani pedagog wyjęła wystającego z gniazda USB pendrive’a i pasek „Pobierz plik: *Ficken_mit_zwei_Pilnicken.avi*” zatrzymał się na wskazaniu „99%”, zgąsł i pojawił się komunikat o błędzie.

– Na nim zapisywało się coś ważnego! – krzyknął rozpaczliwie pan dyrektor. – Jak pani mogła!

Pani pedagog zignorowała protest i wsunęła swojego pendrive’a. Potem kliknęła myszką, podkręciła głośniki, powiedziała „no, jasne” i włączyła je. Z głośników ryknął okropny hałas i jakiś męski głos dał się:

– „Unless you are forty to one!!! Your force will soon be undone!!!”

Pan dyrektor wyłączył głośniki. Zapadła cisza.

– Co to było? – wyjąkał.

I pani pedagog mu wytłumaczyła, że młodzi teraz tego słuchają. I że ona proponuje, aby w szkole też zrobić coś takiego. Właściwie to nie trzeba szukać zespołu, bo sam się zgłosił. Młody, rockowy zespół. Przypadkiem gra tam bratanek pani pedagog. I właściwie to oni już czekają. Co ona mówi – czekają! Już rozłożyli sprzęt w auli i próbują! Potrzebna tylko zgoda pana dyrektora.

– No dobrze, niech będzie – pan dyrektor znowu słuchał jednym uchem, bo nadal nie mógł czegoś znaleźć. – Wszyscy uczniowie niech idą na ten koncert. A... Drogo to będzie?

– Gratis!!! To młody zespół, dopiero się promuje!

– No to dawać go! – zakomenderował pan dyrektor. – Niech grają! Ja zaraz tam też przyjdę!

Pół godziny później dyrektor wszedł do auli. Był już tam zgromadzony tłum uczniów, który pod nadzorem grona pedagogicznego chłonał muzykę. Nie dało się nie chłonać – rockowo-metalowe dźwięki były tak głośne, że odbierało się

je nie tylko uszami, ale i całym ciałem. Czwarta a, tak jak wszystkie inne klasy, uczestniczyła w koncercie. Dziewczynka, która zawsze odzywała się jako pierwsza, tym razem się nie odzywała. Zresztą i tak nie byłoby jej słychać, za to zemdląca. Jako pierwsza. Łukaszek i Gruby Maciek na początku się krzywili, ale muzyka ich ogarniała, przeszywała na wylot i nie było przed nią ucieczki.

– Nawet fajnie grają! – krzyknął Łukaszek.

– Nic nie słyszę!! – zadudnił Gruby Maciek.

– Aha!!! No, fajnie!!!

Okularnikowi występ bardzo się podobał. Rzucił łepetynę do rytmu i w pewnym momencie jego okulary sfrunęły mu z nosa i ruchem wirowym poszybowały przez całą aulę. Wzniosły się prawie pod sam sufit, a potem obniżyły lot i trafiły panią pedagog w potylicę.

Zespół nazywał się Sutki Dublera i akurat grał swój najlepszy utwór pod tytułem „Noc Kuwety”.

Pan dyrektor posłuchał przez chwilę i zmarszczył brwi. Następnie przepchnął się pod scenę i przerwał wykonywanie utworu. Młody wokalista dociągnął frazę „Nadciąga Noc Kuwety! Z ręką w nocniku zbudzisz się! Nie dowiesz się z gazety! Kto dziś jest dobry, a kto nie!” i zapytał o chodź.

– Jest źle – powiedział pan dyrektor.

– O tym śpiewamy.

– Nie o to mi chodzi – pan dyrektor zrobił przejście dla uczniów wyprowadzających krwawiącą panią pedagog. Gdzieś po podłodze raczkował okularnik szukający swoich okularów. Pan dyrektor zrobił i jemu przejście, i coś chrupnęło mu pod butami. – Jest źle, że śpiewacie po polsku. Co wy tu odstawiacie jakieś martyrologie? Młodzi chcą się bawić.

– Ale oni się świetnie bawią przy tej muzyce, a tekst może ich zainspiruje, zaciekawi, poruszy wewnętrznie...

– Żadnego poruszenia! To ma być rozrywka! Po angielsku!

– No dobrze... – powiedział wokalista. – Możemy po angielsku.

Poleciały dynamiczne kawałki o refrenach zaczynających się od „Skul yz szyt” i „Kil dys madafaka”. Dyrektor z zadowoleniem zaczął rytmicznie przytupywać stopą. Pod butem coś chrzęściło przez dłuższy czas, a potem przestało.

– To jest muzyka! – zawołał z uznaniem.

– A teraz specjalna piosenka dla pana dyrektora! – krzyknął wokalista. – Aj łona fak ju in de es! Komon! Ewrybady! Aj łona fak ju in de es!

Dyrektor nadal rytmicznie przytupywał stopą. Niektórzy nauczyciele, znający angielski, popatrywali na siebie z przerażeniem. Milczeli, jedynie ich spojrzenia mówiły: „Czy pani słyszy to, co ja? Czy pani rozumie to, co ja?”. W końcu grono pedagogiczne zaczęło spoglądać na pana od angielskiego. On powinien zareagować – niejako „z urzędu”.

Ale pan od angielskiego, cały rozanielony, bawił się świetnie i śpiewał refren razem z wokalistą

BAZAR FATTERS

CZĘŚĆ 2, OSTATNIA



Łukaszek wraz z tatą udali się na skrzyżowanie ulic, gdzie kilka tygodni temu byli świadkami likwidacji nielegalnego bazaru. Wtedy to tata Łukaszka prowadził syna do dentysty, tym razem to syn odprowadzał ojca.

– Sam trafię! – złościł się tata Łukaszka, choć były podstawy, by mu nie wierzyć. W tym roku już trzy razy nie trafił do stomatologa. Tym razem mama Łukaszka powiedziała, że tata nie ma stosować żadnych wybiegów, i dodała mu do towarzystwa Łukasza.

– Tak, jakbym ja stosował wybiegi – parsknął tata Łukaszka, po czym złapał się za szczękę.

– Boli? – zapytał Łukaszek głosem, w którym było więcej ciekawości niż współczucia.

Tata nie zdążył odpowiedzieć, bo szczeka mu opadła i chłodne powietrze dotarłszy do zębowego ubytku znieczuliło nieco ból. A szczeka mu opadła na widok skrzyżowania ulic.

Kilka tygodni temu urzędnicy miejscy i straż miejska zlikwidowali nielegalne bazarek, na którym handlowano owocami i warzywami. Okoliczni mieszkańcy byli przeciwni likwidacji, to samo stanowisko zajęli pracownicy pobliskich sklepów. Najbardziej wtedy wyróżniała się grupa krawcowych z punktu usługowego w bloku na narożniku.

A tego dnia okazało się, że bazarek funkcjonuje na nowo. Zaczęło robić się zbiegowisko, pojawili się okoliczni mieszkańcy, sprzedawcy z sąsiednich sklepów, no i straż miejska.

– Wy jesteście niepoprawni – sarknął jeden ze strażników. – Przecież wiecie, że jest tutaj zakaz handlowania owocami i warzywami...

– Ale my nie handlujemy owocami i warzywami! – zauważył chytrze jeden ze stojących za straganami.

– To co wy tu robicie???

– Świadczymy usługi krawieckie. Pogotowie krawieckie, przeróbki, napy, skracanie nogawek...

– Co, co, co??? – przez tłum przepchała się krawcowa z punktu usługowego w bloku na narożniku. – A za ile robicie to czy tamto?

Usłyszawszy ceny krawcowa pognęła do swojego punktu i wróciła z odświeżoną koleżanek.

– Złodzieje! – krzyczały.

– Jacy złodzieje? Czy my kogoś okradamy? – pytali ludzie za straganami.

– Tak, nas! – krawcowe były naprawdę rozjuszone. – Macie niższe ceny niż u nas! Klienci przyjdą do was, a nie do nas!

– To też obniżcie ceny – zaproponował nieroztropnie ktoś ze straganiarzy.

– Jak?! Na czym?! Płacimy czynsz, ZUS i mnóstwo innych rzeczy, a wy nie!

I doszło do zwarcia. Wyglądało podobnie jak poprzednie, ale było kilka istotnych różnic. Wtedy szarpanina nastąpiła pomiędzy strażą miejską a straganiarzami, tym razem pomiędzy krawcowymi a straganiarzami. Straganiarze w obu przypadkach wykrzykiwali te same argumenty: nikogo nie okradają, a poza tym inni kradną więcej i są pionierami polskiej przedsiębiorczości i ich najłatwiej atakować. Argumenty z pierwszego starcia głoszone przez straż miejską tym razem były przytaczane przez krawcowe, które poprzednio tych samych straganiarzy broniły.

Nawet Łukaszek zauważył, że coś jest nie tak.

– Te panie poprzednio broniły straganiarzy przed usunięciem – powiedział w zamyśleniu.

– Mhm – potwierdził tata Łukasza.

– To dlaczego teraz chcą, żeby ich jednak usunąć?

– No cóż, sprawa jest bardzo prosta... – zaczął tata. Założył ręce do tyłu i długo, długo tłumaczył to Łukaszkowi. A następnie spojrzał na zegarek i powiedział ze smutkiem, że właśnie minęła pora jego wizyty u dentysty.

LEKTURY I INNE BZDURY

Ruszyła szkoła. Jeszcze przez kilka pierwszych dni nie było tak źle. Nauczyciele łapali się na teksty: „To dopiero pierwsza lekcja w tym roku szkolnym” albo „Jeszcze tak niedawno były wakacje”. Ale po pierwszym wrześnieowym weekendzie i to się skończyło.

– Skończyło się! – krzyknęła młoda pani od polskiego i palnęła linijką w stół. W zeszłym roku szkolnym robiła to dłonią, ale zaczęła mieć w niej straszne bóle, więc przerzuciła się na liniał. – Do roboty! Uczymy się!

– Łeeee... – jęknęła zgodnie czwarta a.

– Wszyscy idą wam na rękę, a wy i tak marudzicie! – strofowała ich pani.
– Zmniejszamy wam kryteria!

– Co to jest kryterio? – zapytał okularnik z trzeciej ławki.

– To taka choroba, twoja stara ją złapała od listonosza – zadudnił Gruby Maciek i się pobili.

Była to ich pierwsza bójka w tym roku szkolnym.

– Cisza! – krzyknęła młoda pani i palnęła linijką w stół.

– Uważam, że powinniśmy wybrać przewodniczącego klasy – powiedziała z godnością dziewczynka, która prawie zawsze odzywała się jako pierwsza.

– Świetnie, od dziś jesteś przewodniczącą – warknęła młoda pani. – O czym to ja mówiłam? Aha. Wszyscy wam idą na rękę. Wszyscy. Macie obiady w szkole, szafeczki. I znowu zmniejszyli wam limit lektur! Będziecie mieli ich w tym roku szkolnym...

– Łeeee... – czwarta a zajęczała profilaktycznie.

– ...jedną. No, chyba nie powiecie, że to dużo! – oburzyła się pani.

– No nie – przyznali uczniowie.

– Lektury są okropne – wypowiedział się w imieniu klasy Łukaszek. – Trzeba czytać!

– Na komputerze też czytasz – odbiła piłeczkę pani.

– No tak, ale lektury są takie... Stare...

– Dziwnie mówią i nie wiadomo, o co chodzi – wstrzelił się okularnik.

– Film już łatwiej obejrzeć – zadudnił Gruby Maciek.

– A więc mam dla was dobrą wiadomość – uśmiechnęła się młoda pani od polskiego. – Lektor do czytania owszem, będzie mniej, ale za to będziemy chodzić do kina, do teatru, a nawet na balet.

Potem pani musiała wytłumaczyć okularnikowi z trzeciej ławki, że „balet” to nie to samo co „balety”.

– Nie mamy pieniędzy na bilety – klasa zaśpiewała starą śpiewkę.

– Wyjścia będą bezpłatne, oczywiście poza biletami tramwajowymi – pani była przygotowana. – W zamian artyści czy personel techniczny będzie mógł korzystać z naszej stołówki czy sali gimnastycznej.

Czwarta a nic nie odpowiedziała, tylko każdy z uczniów i uczennic kalkułowal w milczeniu wady i zalety tej niecodziennej sytuacji.

W domu Łukaszek, oczywiście, podzielił się tą nowiną ze swoimi bliskimi. Siostra skorzystała, że wyszedł z pokoju i rzuciła się do jego komputera sprawdzić pocztę.

– To bardzo ciekawe – powiedziała mama Łukasza. – Może w stołówce spotkacie jakiegoś ciekawego aktora czy reżysera.

– Akurat aktor przyjedzie na obiad do ich szkoły – rzekł z powątpiewaniem tata Łukasza.

– To możliwe, przecież jest kryzys – powiedziała mama Łukasza. Wzrok jej padł na pierwszą stronę „Wiodącego Tytułu Prasowego”. Wywiad z ministrem finansów był zatytułowany „Nie ma kryzysu”. – To znaczy: nie ma kryzysu – poprawiła się mama. – Ale to nie znaczy, że nie mógłby jakiś aktor...

Przerwał jej dziwny, rżący odgłos dochodzący z głębi mieszkania. Odgłos ten zaczął się przybliżać i do pokoju weszła siostra Łukasza. Śmiała się.

– Ale śmiesznego maila mi przysłali! – zgięła się ze śmiechu. – W temacie była napisane „Tips on oral sex”! – otarła łzę z lewego oka.

– Co w tym śmiesznego? – zapytał zdumiony tata Łukasza.

Siostra otarła łzę z prawego oka i wypaliła:

– No na co komu tipsy przy seksie oralnym!

Niby podczas wakacji wszyscy przygotowali się do roku szkolnego, ale co chwilę wychodziły jakieś niedopatrzienia. Na przykład – nie ustalono jeszcze, jakie będą podręczniki. Rodzice Łukasza przeznornie wstrzymali się z zakupami. Podobnie inni rodzice. Nauczyciele zostali zasypani gorączkowymi prośbami o zdecydowanie się.

– Może wcale nie będziemy mieć podręczników – rozmarzył się okularnik z trzeciej ławki, kiedy to podczas przerwy klasa czwarta a wędrowała z jednego piętra na drugie. Dziewczyny rozmawiały o jakiejś aktorce, a chłopacy o tym, że polska reprezentacja piłki nożnej przegrała z Niue pięć do zera.

– Odpada – rzekł pobłażliwie Gruby Maciek. – Przecież do niektórych przedmiotów mamy już podręczniki. Będą nam kazali kupić do wszystkich i już.

– Poza tym zrobili nam szafki na książki – zauważył Łusaszek. – Nie ma szans, na pewno będziemy musieli kupić książki.

– Aaaahh – westchnął okularnik. – Ale tak fajnie jest mówić: psze pani, nie da się, nie mamy książek, nie może pani nic nam zadać...

Czwarta a wdrapała się po schodach na ostatnie piętro i zamarła. W zakamarku korytarza szamotała się jakaś ciemna postać. Szamotała i mamrotała.

Dziewczynka, która zawsze odzywała się jako pierwsza, zemdląa i poleciała do przodu. Czujne koleżanki zdążyły ją złapać, zanim jej twarz zetknęła się z podłogą i odciągnęły ją do tyłu.

– Upiór... – okularnik z trzeciej ławki zaszczekał zębami.

– Milcz, nędzna fiucino – wyszeptał Gruby Maciek i na wszelki wypadek zakneblował okularnika.

Łusaszek czujnie wysunął się naprzód, ale w tym samym momencie tajemnicza postać również ruszyła i wyszła z cienia. Zobaczyli wtedy, że była to młoda kobieta. I że szamotała się ona, bo jedną ręką zapinała na sobie ich mundurek szkolny. W drugiej zaś trzymała telefon komórkowy i coś do niego mamrotała.

– Tak... Oczywiście... Już skończyłam się przebierać... Tak, to po to, żeby nie wyróżniać się z tłumu. I żeby nikt mnie nie rozpoznał... To co? Tak, jak się umawialiśmy? Dobrze... Tak, Tunezja albo Egipt... Nie, naprawdę, dalej nie da rady... Ale za to cała rodzina, tak jak pan chciał... Nie, to już zależy od pana, ile pan rozprowadzi dalej... Tak, mam dla pana jeden egzemplarz... Dobrze, to wchodzę...

Młoda kobieta wyłączyła telefon, podniosła z podłogi ciężką torbę i wślizgnęła się do najbliższej klasy. Czwarta a wstrzymywała oddech. Po dwóch minutach młoda pani wyjrzała ostrożnie i wyszła. Szła lżej, jakby jej torba nie była już taka ciężka, kiedy tam wchodziła.

– Szpieżka! – zapiszczał okularnik z trzeciej ławki, który wreszcie wyrwał się Grubemu Maćkowi.

– Że co? Śnieżka? – zapytał Łusaszek.



– Szpieżka! Baba szpieg! Jest psycholożka od psychologa, to od szpiega jest szpieżka! – tłumaczył podekscytowany okularnik.

– Prędzej dilerka narkotyków – zauważył sceptycznie Gruby Maciek. – Kazała komuś rozprawadzać towar dalej...

– Oni tam są nadal w tej klasie – rzekł ochryple Łukaszek. – Jak ich złapiemy i wykryjemy, to może nas zwolnią jutro z matmy?

Wizja zwolnienia z jutrzejszej matmy zadziałała i cała czwarta a wyraziła gotowość łapania gangu szpiegów i dilerów. Jedyne dziewczynka, która zawsze odzywała się jako pierwsza, leżała zemdłona z głową opartą o kaloryfer.

– Trzy, cztery! – zakomenderował Łukaszek. Runął na drzwi i czwarta a wpadła za nim do klasy.

W środku nie było żadnego gangu dilerów ani szpiegów. Był tylko pan do historii, z którym mieli mieć zaraz lekcję. Pan od historii bardzo się zdenerwował i skrzyczał ich, że wpadają do klasy jak banda dzikusów. A potem pokazał im nowiutką, grubą, ciężką i drogą książkę i powiedział, że właśnie wybrał podręcznik na ten rok szkolny.

NOWY SERIAL „NAPIĘTNOWANY”

Na ten serial czeka cała Polska!!!” krzyczały billboardy. Atmosfera z dnia na dzień robiła się coraz gorętsza. Wreszcie nadszedł dzień emisji. Cała Polska zasiadła przed telewizorami. Czyli również Hiobowscy.

– A teraz pora na nasz najnowszy serial! – uśmiechnęła się z ekranu prezenterka. – Zobaczycie państwo, jak losy skromnego nauczyciela informatyki, Mateusza Kryla, zmieniły się pod wpływem spotkania z Tajemniczym Facetem w kurtce PKP!

Rozpoczął się serial. I wcale nie od Mateusza Kryla. Na początku pokazano grupę paralotniarzy, beztrąsko śmigających po błękitnym niebie. Latali tak i latali...

– Dłużyzna – powiedział tata Łukaszka i został brutalnie uderzony przez kogoś poduszką w głowę.

...i latali. I nagle jeden paralotniarz zauważył, że na lewym skrzydle jego paralotni siedzi Tajemniczy Facet ubrany w kurtkę PKP...

– Przecież paralotnia ma miękkie skrzydła – zauważył Łukaszek i został trafiony dwoma poduszkami.

...a na drugim skrzydle leży trup kobiety. Na czole miała wymalowany krwią kalendarz Majów. Tak to wstrząsnęło pilotem paralotni, że wstrząsnął całą paralotnią.

Zmiana miejsca akcji. Oto skromny nauczyciel informatyki, Mateusz Kryl, zakończył właśnie lekcje i wsiadł do swojego nowego S-klasse. Dotarł do domu, gdzie czekała na niego Żona i Córeczka. Pod domem stał Tajemniczy Facet w kurtce PKP i ścisnął w rękę plik ulotek.

– Och kochanie, znalazłam w skrzynce ulotkę lotów turystycznych – powiedziała bez przywitania Żona Kryla. – Lećmy!

– Lećmy! – poprosiła Córeczka Kryla.

Kryl się zgodził. Rodzina skromnego nauczyciela informatyki wsiadła do nowego S-klasse i pojechała na lotnisko. Za skrzydłem samolotu chował się Tajemniczy Facet ubrany w kurtkę PKP. Krylowie już mieli wsiadać, gdy zadzwonił telefon Mateusza.

– Pan Kryl? Dzwonię z ministerstwa! – powiedział telefon. – Tylko pana program komputerowy może uratować ZUS przed ostateczną katastrofą! Ale musi pan być w Warszawie o dwudziestej!

– Oczywiście – powiedział Mateusz Kryl. Żona i Córeczka wsiadły do samolotu, a skromny nauczyciel do S-klasse...

– Przecież to bzdura, ZUS-u nie da się uratować – wtrącił dziadek Łukaszka. – I niech nikt mnie nie wali tymi poduszkami! Siwej głowie należy się szacunek!

...i ruszył do Warszawy. Po drodze, na pustej szosie prowadzącej przez las dogonił go litewski tir. Zaczął go wyprzedzać i zrównał się z S-klasse skromnego

nauczyciela. Kierowca tira najpierw przesiadł się na siedzenie pasażera, potem otworzył drzwi, wyszedł na zewnątrz kabiny i usiadł na zderzaku, patrząc w twarz pędzącego obok w S-klasie skromnego nauczyciela. Kierowca wyjął zdjęcia Mateusza Kryla, obejrzał zdjęcia, obejrzał Kryla i wróciwszy do kabiny zasiadł za kółkiem. Przyspieszył, wyprzedził, a potem znienacka rozbił się, efektownie dachując.

– Nie no, to jest naprawdę głupie – powiedziała z irytacją babcia Łukaszka. Nikt jej nawet nie tknął poduszką.

Mateusz Kryl złożył policji zeznania i kontynuował jazdę. „Gwałtowne załamanie pogody ogarnęło samolot lotów turystycznych” – zagadało radio. Kryl, pełen złych przeczuć, zawrócił.

A pogoda faktycznie się załamała. Mała biała chmurka zrobiła się czarna i metodą „rociągnij obiekt” ogarnęła całe niebo. Samolot z Żoną i Córeczką też. Kiedy skromny nauczyciel dotarł S-klasie na lotnisko, trwała tam już Wielka Akcja Ratunkowa. Był też oczywiście Tajemniczy Facet ubrany w kurtkę PKP. Złapał Kryla za ramię i powiedział mu grobowym głosem:

– To nie tak miało być... – i zniknął. Kryl stwierdził, że ma na ramieniu Tajemniczy Znak w kształcie Tajemniczego Znak. Co więcej, stwierdził, że sam musi polecieć na pomoc Żonie i Córeczce. Niestety, nikt go nie chciał zabrać, oprócz paralotniarza, którego na początku odcinka tak wystraszył Tajemniczy Facet ubrany w kurtkę PKP.

Polecieli. Nie wiedzieć dlaczego Kryl uparł się, aby mając całe niebo do dyspozycji, lecieć akurat w górę i skręcić za trzecią chmurą na prawo. No i trafili na spadający spadochron. Wisiały na nim Żona Kryla i Córeczka Kryla.

– Nic im nie jest – powiedział później lekarz do Kryla, gdy ten czekał w szpitalu. Krylowi zadzwonił telefon.

– To nie był przypadek – powiedział grobowym głosem Tajemniczy Facet w kurtce PKP. – Na każdego przyjdzie kolej!

Ostatnia scena pokazywała, jak Tajemniczy Facet w kurtce PKP idzie przez miasto. Kiedy mijał żuli popijających mleko UHT pod sklepem, to mleko im kwaśniało i rozwiązywały im się sznurowadła w butach.

Koniec.

– Kiła i mogiła – skomentował poetycko dziadek i poszedł podnieść sobie adrenalinę, czytając „Zagrywki brydżowe”.

– Ale czemu ten facet to i tamto? – dopytywał się Łukaszek.

– Cicho! Oglądamy za tydzień dalej? – zapytał tata Łukaszka.

Mama Łukaszka, która przez cały czas uparcie milczała, niepewnie przesuwając palcami po „Wiodącym Tytule Prasowym”. Nie mogła się podeprzeć recenzją „Napiętnowanego”, bo gazetę kupiła tego dnia rano w kiosku i recenzji tam być nie mogło.

– Jutro podejmę decyzję – odpowiedziała z ulgą.

– Nie rozumiem tytułu – powiedziała lekko rozczarowana siostra Łukaszka, która również przez cały odcinek nie odezwała się ani słowem. – Dlaczego „Napiętnowany”? Przecież on mu zrobił to znamie na ramieniu. Powinno się to nazywać „Naramieniowany”!

ODSIECZ WIEDEN'SKA



Łukaszek z dziadkiem pojechali tramwajem do centrum. W ciżbie ludzkiej wypełniającej pudło wagonu poczuli znajomy zapach, usłyszeli znajomy głos i rozpoznali wśród pasażerów pana Sitko. Wyszli razem na przystanku i nawiązali nieuniknioną konwersację. Wędrowali razem przez miasto, aż zatrzymał ich niecodzienny widok. Policja walczyła z plakatem, ale nie zdzierła go, lecz wręcz przeciwnie – rozlepiła.

– Pewno jakieś ważne obwieszczenie – rzekł dziadek.

– Może znoszą zakaz picia pod sklepem? – rozmarzył się pan Sitko.

Kiedy policjanci nakleili cały plakat, można było zobaczyć na nim twarz kobiety. Młoda, wystraszona, patrzyła prosto w obiektyw. Pod spodem widniał napis: „Przedszkolanka Jolanta C. skazana na dwa lata pracy przymusowej w stoczni za nielegalną naukę czytania i pisania w przedszkolu. Plakat ma pełnić funkcję prewencyjną. Sąd zezwolił na publikację danych osobowych”.

– O ja cię – powiedział pan Sitko. – Wiedziałem, co robię, odmawiając nauki!

– Czy ja mogę iść do tego przedszkola? – zapytał z nadzieją w głosie Łukaszek.

– Mowy nie ma! – uniósł się dziadek. – Nie po to nasi przodkowie krew przelewali, żebyś teraz się wałkonił! Jagiełło! Sobieski!

– O, Sobieski... – rozmarzył się pan Sitko. – Chociaż muszę powiedzieć, że ze sławnych Polaków wolę Chopina.

– A to dlaczego? – zapytał zdumiony dziadek.

– Butelka poręczniejsza.

– Co pan mi tu...! Ja tu o Sobieskim, tym królu! – uniósł się dziadek, ale zaraz musiał powściągnąć swój temperament, bo otoczyła ich grupa obcojęzycznej młodzieży.

– Jesteśmy z Austrii... Przyjechalśmy tutaj, bo dziś jest rocznica odsieczy wiedeńskiej... Sobieski uratował nasz kraj i całą Europę...

Dziadek się wzruszył.

– Widzi pan? No widzi pan? – krzyczał do pana Sitko. – Warto było czekać takich czasów! Piękna chwila.

I jeden Austriak przez drugiego opowiadali, że wszystko zaczęło się u nich w szkole na lekcji historii. Jak to pani nauczycielka opowiedziała im, w jakim zagrożeniu była Europa i jaką rolę w jej ratunku odegrały wojska polskie pod dowództwem Sobieskiego.

– Przyjechalśmy tu, bo chcieliśmy zobaczyć ojczyznę Sobieskiego – powiedział wprost jeden z Austriaków.

– Gdyby nie on, bylibyśmy dziś Turcją! – dorzucił drugi. – A tak on ocalił zachodnią cywilizację! Europę! Chrześcijaństwo! Całą naszą kulturę! Tożsamość!

Dziadek był wniebowzięty.

Reszta obcokrajowców poszeptowała między sobą i trzeci zapytał:

– Zgłodnieliśmy i chcielibyśmy zjeść jakiś obiad. Jest tu gdzieś dobry kebab?

ŁASKA PAŃSKA NA PSTRYM KONIU

Rozpoczynamy wieczorne wydanie wiadomości. Wita państwa Rulanta-Jotowicz – zagłaskał telewizor. Hiobowscy zbiegli się z tupotem i obsiedli zestaw wypoczynkowy.

– Podajemy wiadomość dnia. Dzisiaj odbyła się konferencja ministra, który miał zostać zdymisjonowany przez premiera, jeśli nie osiągnie odpowiednich efektów. A oto materiał filmowy z tej konferencji.

Pokazano za stołem ministra, który miał odpowiadać na pytania dziennikarzy.

– Miał pan osiągnąć efekty, a ich pan nie osiągnął – zaczęła jakaś dziennikarka.

– Z jakiej pani jest stacji? – zapytał minister. Dziennikarka powiedziała z jakiej. Minister mocno się zdziwił i jakby trochę obraził.

– Nie osiągnąłem efektów z winy opozycji – wyjaśnił sucho.

– Czy premier pana zwolni? – padło kolejne pytanie.

– Gdzie ten koszykarz? Dawajcie koszykarza – rzucił w bok minister. Po chwili za stołem zasiadł obok ministra młody, smutny, wysoki mężczyzna w sportowym stroju.

– Sukces naszych koszykarzy... – zaczął minister.

– Przegraliśmy dzisiaj i odpadliśmy z turnieju – wtrącił koszykarz.

– Wypad! Kogo wy mi do cholery dajecie! Jest ktoś, kto wygrał?! – krzyczał w bok minister.

– Tak, siatkarz – odpowiedziano z boku.

– Dawać siatkarza!

Koszykarz poszedł sobie, a po chwili za stołem zasiadł obok ministra młody, wesoły, wysoki mężczyzna w sportowym stroju.

– Sukces naszych siatkarzy, tak wielki, od tak dawna wyczekiwany, jest sukcesem całego naszego rządu – powiedział minister. – Cieszymy się! Proszę zadawać pytania panu siatkarzowi!

I dziennikarze zaczęli zadawać pytania siatkarzowi.

– A teraz informacje ze świata – kontynuowała spikerka dziennika. – Polski rząd nadal nie ma rzecznika prasowego. Nikt z kraju nie był chętny... Lub nie spełniał niezbędnych kryteriów. Trwają więc poszukiwania za granicą. Niestety, pierwszy i najbardziej oczywisty kandydat, Muhammad Saeed al-Sahhaf, również odrzucił...

Hiobowscy wstali i zaczęli kręcić się po mieszkaniu, czekając na ostatnią informację w dzienniku, tzw. jajcarską.

– Biedni ci sportowcy. Łaska pańska na pstrym koniu jeździ – skomentował dziadek Łukaszka.

– Co to znaczy, co to znaczy? Powiedźcie mi – z głodem informacji w oczach błagała siostra Łukaszka. – Ta pstra łaska?

– Wytłumacz jej, bo ona znowu pomyśli, że to coś związanego z seksem – westchnęła mama Łukasza.

– Czemu ja? – oburzył się tata Łukasza, podrapał po głowie i zaczął tłumaczyć. – Wiesz co to jest łaska?

– Łaska?

– Nie łaska, łaska! Łaska to fawor, względy.

– Aha.

– Teraz „pańska”. To oznacza kogoś nad tobą.

– Sąsiad piętro wyżej? – zapytała siostra Łukasza.

Tata Łukasza na chwilę ukrył twarz w dłoniach, a potem rzekł:

– Dobra, to coś związanego z seksem.

– Wiedziałam!! – triumfowała siostra. – Ale co konkretnie?

– A na zakończenie o innym ważnym wydarzeniu – przebił się głos spikerki. – Niedawno minęła rocznica zamachu na wieże World Trade Center. Przypomnę, że byliśmy jedyną polską stacją, która nadała w dniu rocznicy wiadomości z Manhattanu i relacjonowała szczegółowo wydarzenia z tamtego jedenastego września. Nie wiecie państwo jednak, że byliśmy w ogóle jedyną stacją, która parę dni temu nadawała z Manhattanu. Nie było żadnej innej stacji telewizyjnej, nawet amerykańskiej. Spróbujmy wyjaśnić teraz tę zagadkę. Łączymy się z naszym korespondentem!

Korespondent na amerykańskiej ulicy zatrzymał jakiegoś nastolatka. Nastolatek miał dredy, kolorowy beret, krzyż na piersiach i t-shirt z Che Guevarą.

– Dlaczego nie było tu amerykańskich telewizji parę dni temu, jedenastego września? – zapytał korespondent.

– A po co? – zapytał tubylec.

– No bo to rocznica...?

– Jaka rocznica?

– To ja pana pytam, jaka rocznica – upomniął łagodnie rozmówcę korespondent.

– Aaaa! Już wiem! Urodził się ten piosenkarz, no... Jak mu tam... Fidel Castro!

SPOTKANIE Z WIELKIM CZŁOWIEKIEM

Zaproszeni jesteśmy wszyscy – powiedziała mama Łukasza z naciskiem. – To nie było jakie zaszczyt, być zaproszonym na spotkanie z takim człowiekiem! Wielkim Człowiekiem!

– Ale czy musimy iść? – zapytał z niechęcią dziadek.

– Nikt nikogo pod pistoletem nie trzyma... – przyznała mama i już po chwili babcia i dziadek powiedzieli, że nie idą. Babcia – jej nie odpowiadało, co Wielki Człowiek robił dawno temu, a dziadkowi nie odpowiadało, co Wielki Człowiek robił niedawno.

– Ja też nie idę... – zaczął Łusaszek, ale nie dokończył, bo dowiedział się, że akurat on musi iść.

– To niewybaczalne! Młodzież pójdzie i się będzie uczyć! Młodzież w ogóle się niczym nie interesuje!

– Czym ja się nie interesuję? – zapytała grzecznie siostra Łukasza. Mama Łukasza na moment zasłoniła twarz dłońmi, a potem powiedziała:

– Historia! Życiem! Proszę, dziś idziemy na spotkanie z Wielkim Człowiekiem, poznaś legendę!

– O – ucieszyła się siostra. – To fajnie. Ciekawe, czy jest tak legendarnie wielki, jak jeden z moich byłych chłopaków. Bo on w stanie erekcji miał...

Mama brutalnie przerwała siostrze i powiedziała, że jednak ona nie musi iść. Tata Łukasza siedział w kącie, nie wtrącał się i udawał, że pochłonęła go gazeta motoryzacyjna. Konkretnie – test porównawczy najnowszych wersji fiata vipera i taty corvette.

Poszli zatem w trójkę – Łusaszek z rodzicami. Rodzice po drodze wspominali Wielkiego Człowieka takiego, jakim go znali kiedyś.

– Może jego żarty nie były najwyższych lotów, ale za to jak potrafił rozruszać towarzystwo! Nawet ci jajogłowi, zasuszeni naukowcy się śmiali!

– A jaki skromny! Wszędzie chodził w jednym swetrze!

– Nie miał dużej wiedzy, to fakt, ale nadrabiał to intuicją!

– A jego postulaty gospodarcze! Zawsze na pierwszym miejscu stawiał człowieka!

– Wielki Człowiek, jego zasługi z przeszłości są niepodważalne!

– Mam nadzieję, że się nie zmienił!

I tak doszli na przyjęcie. Tam, w grupie innych osób był już Wielki Człowiek. Łatwo było go rozpoznać. Wszyscy byli w strojach wieczorowych (prawie wszyscy, w tym rodzice Łukasza) lub od biedy eleganckich (Łusaszek). Wielki Człowiek był w swetrze. Przywitał się uprzejmie z rodzicami Łukasza i serdecznie z samym Łusaszkiem. A potem wszyscy zasiedli do eleganckiej kolacji.

Wielki Człowiek opowiadał, co porabiał po transformacji ustrojowej, gęsto przeplatając to rubasznymi żartami.

– Och, zarządzałem Państwowym Tym, a potem Państwowym Tamtym – opowiadał z lekkością. – No, koledzy załatwili posadę. Należała się przecież – za zasługi z przeszłości. No i chciałem sprawdzić się w biznesie. Nie no, oczywiście, że nie za bardzo się na tym znałem. Ale człowiek jakoś intuicyjnie wiedział, co robić. Co, komuchy miały rządzić? A rządzenie to niełatwa rzecz. Zawsze starałem się stawiać człowieka na pierwszym miejscu. Wypłaty, podwyżki, socjał, premie, świadczenia. Tylko potem jacyś księgowi przychodzili i płakali, że nie ma pieniędzy na nic innego i trzeba pomocy rządowej wołać.

Późnym wieczorem Hiobowscy wracali z kolacji. Łukaszek milczał, powtarzając w pamięci co lepsze kawały – zamierzał opowiedzieć je w szkole. Rodzice Łukasza przeczuli się refleksjami.

– Wielki Człowiek, ale te jego dowcipy były naprawdę poniżej wszelkiej krytyki. Nie można w towarzystwie opowiadać takich rzeczy...

– On wszędzie chodzi w jednym swetrze! Doprawdy...

– On nie ma żadnej wiedzy! Decyzje podejmuje intuicyjnie! Gdyby mój szef tak postępował, dawno byśmy zbankrutowali!

– A jego podejście do gospodarki! Chyba w ogóle nie słyszał o rentowności! Nie można przejeść wszystkiego, co się ma w kasie!

– Ma, owszem, zasługi z przeszłości, ale...

– On się wcale nie zmienił!

UCHWAŁA NA 17 WRZEŚNIA



zwarta a pilnie uczyła się polskiego, kiedy do drzwi klasy ktoś zapukał i weszła pani pedagog, niosąc jakieś papiery. Dzielnie zignorowała okrzyki uczniów „Nożycoręka!” i podeszła do młodej pani od polskiego.

– Co to za papiery? – zapytała młoda pani umęczonym głosem.

– To uchwała naszej rady pedagogicznej w sprawie rocznicy siedemnastego września – wyjaśniła pani pedagog. – Pan dyrektor zapowiadał już, że pod koniec dnia odbędzie się uroczysta akademія i pan dyrektor odczyta naszą uchwałę wszystkim uczniom!

Młoda pani od polskiego opuściła głowę, aż głucho stuknęła czaszką o blat.

– No, no, moja droga – powiedziała łagodnie pani pedagog. – Zostawiam pani te papiery. Niech je pani przejrzy i dopisze coś od siebie. To nasz obowiązek – wymówiła ostatnie słowo z naciskiem. – Przyjdę za dwadzieścia minut.

I wyszła.

– Czy wy w ogóle wiecie, co to za rocznica, siedemnasty września? – zapytała młoda pani.

– Rok temu, siedemnastego września, dostałam swoją pierwszą najlepszą ocenę w tamtym roku szkolnym – powiedziała dumnie dziewczynka, która zawsze odzywała się jako pierwsza.

– Chodzi o Sowietów, ty nędzna fiucino! – krzyknął okularnik, zadowolony z tego, że zazwyczaj sam słyszał ten epitet pod swoim adresem, a tym razem mógł go sam wykrzyczeć.

– Do łaski nie mów się „fiucina”, ty, fiucino – zmiażdżył go Gruby Maciek. Okularnik odpowiedział mu czymś o jego matce i się pobili. Łukaszek dzielił się wiedzą nabytą od swojego dziadka, tłumacząc reszcie klasy, co to są Sowiety. Młoda pani od polskiego nie reagowała na to, co się działo w klasie, i pisała jak wściekła na papierach ustawionych przez panią pedagog.

Reszta dnia minęła bez zakłóceń. Po lekcjach wszyscy uczniowie zgromadzili się w auli. Sala była już stosownie udekorowana, a na scenie zgromadzili się nauczyciele.

– Witam wszystkich – podszedł do mikrofonu pan dyrektor. – Nasze grono pedagogiczne postanowiło uczcić rocznicę podstępного ataku Związku Socjalistycznego na Polskę we wrześniu tysiąc dziewięćset trzydziestego dziewiątego roku specjalną uchwałą. Uchwała ta została opracowana demokratycznie przez całe grono i odzwierciedla poglądy każdego z nas! – Pan dyrektor odchrząknął i zaczął czytać z namaszczeniem:

– My, nauczyciele i inny personel, o którym się zawsze zapomina, a bez którego to byście se rady nie dali, wierzący w Boga, w Mahometę, jak i ci, którzy uważają Boga i Mahometę za totalne bzdury, oraz mniejszości seksualne... – pan dyrektor przerwał, zrobił okrągłe oczy i obejrzał się do tyłu. Z tyłu stało grono pedagogiczne, w którym zapanowała lekka konsternacja.

– Chcielibyśmy potępić napad Związku Radzieckiego – czytał dalej dyrektor, ale już bez poprzedniego uniesienia. – Prowadził do ludobójstwa, które właściwie nie można nazwać ludobójstwem, bo, co prawda, wyczerpuje prawie wszystkie znamiona tego czynu, ale tego nie można tak nazwać, bo to było podczas wojny, nasze relacje zawsze były trudne, Rosja może mieć obecnie do nas o to pretensje, choć należy podkreślić, że zginęli tam Polacy i nie tylko Polacy, i oficerowie, i Afroamerykanie, o kobietach oczywiście nikt nie pamięta do dziś oraz o mniejszościach seksualnych. Niemniej jednak, aczkolwiek, ponieważ bynajmniej, zważywszy, co więcej...

– Przepraszam, ale my nic nie rozumiemy – któryś z uczniów odważył się przerwać panu dyrektorowi. – Czy nie można po polsku?

Panu dyrektorowi zaczęła drgać trzymana w ręku kartka.

– Kto mi, kuźwa, dał brudnopis! – eksplodował wreszcie. – Przecież tego bełkotu nie da się czytać!

Wystraszona pani wicedyrektor podbiegła, spojrzała na kartkę i powiedziała teatralnym szeptem:

– Panie dyrektorze... To jest czystopis...

KUSZENIE PANA SITKO

CZĘŚĆ PIERWSZA

Pewnego wieczoru pod koniec lata wybrał się był pan Sitko, sąsiad Hiobowskich, na spacer do parku. Rzecz jasna, spacer nie leżały w jego naturze, postanowił więc połączyć przyjemne z pożytecznym i zaopatrzył się w torbę papierową z tanim winem. Bardzo tanim winem.

Zasiadł na ławce, pociągnął łyk i zachwycił się okolicznościami przyrody, jak przed nim zachwycali się Vivaldi i Himilbach. Pociągnął następny łyk i aż się zakrztusił.

– Jezus! – zawołał. Zobaczył, że do jego ławki podszedł jakiś dziwny mężczyzna. Młody nie był, ale stary też nie. Niby wysoki, ale się garbił. I ubrany też jakoś dziwnie. Jakieś palto, beret. I laska z głową pudła zamiast gałki.

„Niemiec, albo raczej Anglik” – pomyślał pan Sitko. „Ciepło, a ten w rękawiczkach!”

– Najmocniej przepraszam, ale szanowny pan był łaskaw powiedzieć „Jezus” – odezwał się nieznajomy. – Pan daruje, że zapytam, ale czy wierzy pan w Boga?

Pan Sitko spojrzał, ile wypił, spojrzał na nieznajomego, ocenił, że istnieje on naprawdę, a nie jest wytworem jego wyobraźni, i wychrypiął:

– Panda...

– Nie pytam o pandę, tylko o Jezusa – zirytował się lekko nieznajomy. – Czy pan wierzy. Oczywiście, jeśli to nie jest tajemnica.

– Wierzę! – odparł gromko pan Sitko i czknął. – Panda... Pan daruje, ale to żadna tajemnica. W dzisiejszych czasach nie ma tajemnic, każdy robi co chce, a innych gówno to obchodzi. Łyka?

O dziwo nieznajomy się zgodził i pociągnął spory łyk z butelki podanej przez pana Sitko.

– Może być, czuć trochę siarkę – usprawiedliwiał się pan Sitko.

– Ja tam lubię siarkę – wyznał nieznajomy, oblizał wargi i oddał butelkę. – Niechże mi będzie wolno panu pogratulować.

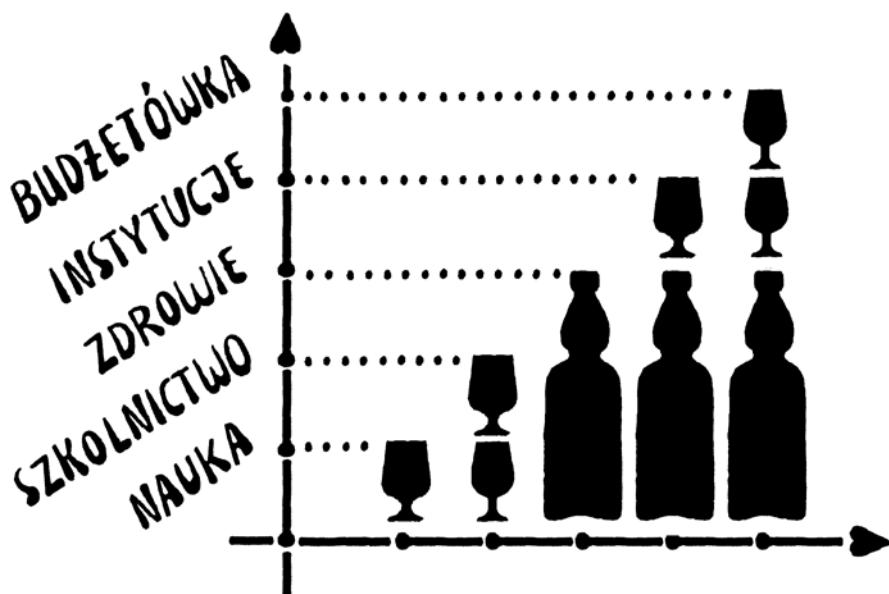
– Czego? – spytał podejrzliwie pan Sitko i zerknął na butelkę. – Gustu?

– Nie, informacji, której mi pan udzielił, a która, dla mnie, podróżnego jest wielce pomocna.

– Jak pan szukasz informacji, to może dam panu gazetę... – i tu pan Sitko wręczył nieznajomemu znaleziony w krzakach dzisiejszy egzemplarz gazety „To, Co Jest”. Na pierwszej stronie było zbliżenie zakrwawionych zwłok ofiary wypadku komunikacyjnego, okraszone tytułem „Boże, tramwaj uciął mu głowę! I umarł!! Wszyscy umrą!!!”.

– Człowiek jest śmiertelny – zauważył filozoficznie pan Sitko.

– Człowiek jest śmiertelny, to fakt – zgodził się nieznajomy. – Ale to, że jest śmiertelny, okazuje się niespodziewanie, w tym sęk! Jednego dnia siedzi pan tu sobie, popija winko...



– O, przepraszam bardzo – pan Sitko poczuł się urażony. – Tym, że ja piję wino, to ja utrzymuję polską gospodarkę! I hutę, co robi butelki, i tych, co robią wino, i transport, i budżet państwa, i...

– No dobrze – przerwał mu nieznajomy. – Jednego dnia pije pan wino, utrzymuje wszystkich, a drugiego dnia, na przykład wpada pan pod tramwaj! I co?

– I nic – wzruszył ramionami pan Sitko. – Zawsze się znajdzie ktoś, kto kupi wino i utrzyma finansowo innych. My, Polacy, zawsze pomagamy innym. Taka tradycja!

Nieznajomy przyjrzał mu się bacznie, a potem powiedział, że musi już iść. I poradził mu, żeby pan Sitko nie wychodził z parku wyjściem koło torów tramwajowych, bo tam jakaś baba rozlała olej.

– Słonecznikowy – dodał nieznajomy. – No, do zobaczenia, panie Sitko. Do rychłego zobaczenia.

Wstał i odszedł.

Dopiero po paru minutach do pana Sitko dotarło, że przecież on się nieznajomemu nie przedstawił...

KUSZENIE PANA SITKO

CZĘŚĆ DRUGA

Pan Sitko nie miał chwili spokoju. Co podnosił butelkę schłodzonego piwa do ust, to do pokoju wpadała żona, przytrzymywała mu tę rękę i zmuszała do wysłuchiwania kolejnej porcji plotek. Na przykład – że aresztowali prezesa spółdzielni mieszkaniowej.

– ...u niego w domu i to podczas obiadu! – emocjonowała się pani Sitko.
– Barszcz jadł!

U prezesa w toalecie, w kanale wentylacyjnym znaleziono paczkę z narkotykami.

– A co mnie to... – rzekł pan Sitko i znowu spróbował donieść butelkę piwa do ust. Bezskutecznie. Za to dowiedział się, że w mieście będzie pokaz magii – idą na niego oczywiście, żona już załatwiła bilety, bo magików do tej pory w mieście nie było. I dowiedział się jeszcze, że było straszne zamieszanie w siedzibie jakiegoś związku zawodowego i po mieście biegają jacyś pomyleni.

Pan Sitko wyszedł. Powędrował aż nad rzekę, gdzie zasiadł na betonowym nabrzeżu obok swojego dobrego kolegi. Popijał wino i zamknąwszy oczy cieszył się jednym z ostatnich, ciepłych dni.

Nagle odniósł wrażenie, że ktoś go obserwuje. Otworzył oczy i odwrócił się. Szedł ku nim bosy facet w białej koszuli nocnej. Na piersiach miał powieszony jakiś obrazek, a w ręce niósł ostrożnie zapaloną świeczkę.

– Po co panu ta świeczka, przecież jest jasno? – zapytał pan Sitko.

– Cicho, to wariat – upomniał go kolega.

– Nieważne, czy wariat, czy gej, czy feminista. Trzeba być tolerantnym – odparł pan Sitko.

– E tam, niech pan powie, zabalowało się wczoraj, co? – dopytywał się kolega pana Sitko.

– Żadne takie! – oburzył się przybysz. – Ścigam konsultanta! To szpieg i morderca! On na pewno jest w rzece!

Postawił świeczkę, zdjął obrazek i zaczął ściągać koszulę.

– Ej, panie, co pan robisz? – wystraszył się pan Sitko.

– A jak inaczej wejść do wody?

– To nie woda, tam jest cała tablica Mandeli – poinformował przybysza kolega pana Sitko. Ale przybysz ich zignorował, rozebrał się do bielizny i wszedł wody, po czym zaczął pływać.

– To samobójca – wyszeptał poblady pan Sitko.

– Gdzie tam, zobacz jak świetnie pływa – kolega wskazał głową przybysza, który rozgarniał rękoma brudną wodę i parskał jak hipopotam. – Chodźmy stąd lepiej, nie mam zamiaru pilnować mu ciuchów.

I poszli. Uszli zaledwie kilkadziesiąt metrów, gdy usłyszeli za sobą kłaskanie bosych stóp na betonie.

– To ten wariat – westchnął kolega pana Sitko i się odwrócili. Ale to nie był ten wariat, tylko ktoś inny, choć nie tak do końca inny. Człowiek nieznany, ale też w bieliźnie, też wzrok dziki i też otaczała go ledwo uchwytna mgiełka szaleństwa.

– Panowie... błagam... – wychrypiał. – Co to za miasto?

– Oho! – powiedział znacząco pan Sitko obwąchując delikwenta. – Tym razem nie ma mowy o pomyłce. Wódka i portwajn!

– Nie jestem pijany, jestem chory – upierał się nieszczęśnik. – Muszę wiedzieć, co to za miasto!

– No, Sopot – zażartował kolega pana Sitko.

Człowiek w bieliźnie wyrzucił oczami i nieprzytomny upadł miękko na beton.

– Trzeba by mu te, no... Usta-usta – zafrasował się kolega pana Sitko.

– No to mu rób! – zdenerwował się pan Sitko. – Przez ciebie zemdłał, to ratuj go teraz!

– No dobrze – powiedział kolega i niespodziewanie się zaczerwienił. – Ale obiecaj, że nie będziesz patrzeć!

Pan Sitko obrócił się w drugą stronę i nie wiedzieć dlaczego przyszedł mu na myśl osobnik, którego spotkał niedawno w parku. Ten w berecie, z laską z głową pudła zamiast gałki.

SBALLADYNA

CZĘŚĆ PIERWSZA



o prawda liczbę lektur w klasie czwartej a zredukowano do jednej w roku szkolnym, ale za to znacząco wzrosła liczba imprez kulturalnych, na których miała bywać dziatwa szkolna.

Tata Łukaszka kręcił nosem i nazwał to wszystko naciąganiem, bo okazało się, że wypadu małolatów funduje nie szkoła, lecz rodzice.

– Nie mogą książki poczytać? Taniej – narzekał tata.

– Daj spokój – ofuknęła go mama. – Młodzież teraz jest inna, nowoczesna, tolerancyjna, multimedialna! Trzeba wyjść naprzeciw i sprostać jej oczekiwaniom. Przy okazji utrzyma się dzięki temu parę instytucji kulturalnych.

– A kto je wybierał? – drążył tata.

– Autorytety – odparła z godnością mama.

– Tego się obawiam... Synu! Na co teraz idziecie?

– Na balet – jęknął Łukaszek i ukrył twarz w dłoniach.

– O ja pier... – nie dokończył tata.

– Widzisz? Widzisz, jak to dobrze, że szkoła ukulturnia ludzi! My na pewno nie poszlibyśmy na balet! A tak – proszę! Gdzie jest ten balet?

– W baleciarni.

Mama spiorunowała Łukaszka wzrokiem i sięgnęła po „Wiodący Tytuł Prasowy”.

– Tytuł! – zażądała.

– „SBalladyna” – odczytał Łukaszek z biletu. Tata Łukaszka zakrzuszył się jogurtem.

– „Lampa Alladyna”? – odezwał się od telewizora dziadek. Razem z babcią oglądali wiadomości, w których poinformowano, że aborcję można nazwać zabójstwem, ale osoby dokonującej aborcji zabójcą – już nie.

– „SBalladyna”! To ten balet! – mama wydała z siebie radosny okrzyk. – To ten balet na cześć Midama-Achnika!

W domu rozległ się gromadny jęk.

– To już na jego cześć balety piszą? – zapytała z przekąsem babcia.

Mama odchrząknęła i z dumą przeczytała fragment wywiadu z reżyserem spektaklu. Otóż reżyser z bólem przyznał, że na klasyczne sztuki baletowe nikt już nie chce chodzić. Nawet próby pożenienia baletu z nowoczesnością nie na wiele się przydały. Ratunkiem okazała się polityka.

– Zrobiliśmy naszą wersję „Balladyny” o Midamie-Achniku – opowiadał reżyser. – I szok! Jedna recenzja pozytywna, druga... Szok! Komplety na widowniach... Szok! A gdy dowiedzieliśmy się, że nasza sztuka wchodzi do kanonu obowiązkowych zamienników lektur do klasy czwartej...

– Szok! – odparli Hiobowscy.

– Z każdym ma iść na ten balet jedna osoba – przypomniał sobie Łukaszek. – Jako opiekun.

Kandydat był tylko jeden i został wybrany jednogłośnie. Mama Łukaszka.

„SBALLADYNA”

CZĘŚĆ DRUGA, OSTATNIA



Łukaszek razem z mamą wybrali się na balet, który miał pełnić rolę lektury szkolnej.

– Jaka to tam lektura – marudził dziadek.

– „Balladyna” – odparła dumnie mama.

– Po przeróbkach? Nawet tytuł zmienili...

Mama ubrała się elegancko, ubrała też elegancko syna, spakowała do torebki same niezbędne rzeczy i tata zawiózł ich na miejsce. W miarę zbliżania się do budynku liczba samochodów gęstniała, a i marki aut trafiały się coraz lepsze.

– Co tu się dzieje?! – tata, zły, szarpał za kierownicę.

– Kulturalni ludzie jadą na balet... – zaczęła mama, ale tata jej przerwał:

– Wiemy, wiemy, o Midamie-Achniku!

Kulturalni ludzie zajeżdżali sobie drogę, trąbili i jechali prosto z pasa do skrętu w prawo. Tacie udało się dotrzeć pod budynek i wysadził tam swoich pasażerów, a sam zawrócił (przez podwójną ciążą) i slalomując pomiędzy innymi autami pognął jak szalony do domu.

Mama Łukasza i Łukaszek weszli do środka i mama zachłysnęła się wielkim światem. Na balet przyszli nie tylko uczniowie z opiekunami. Pojawili się też dorośli osobnicy wyglądający na autorytety, dzierżący pod pachami egzemplarze „Wiodącego Tytułu Prasowego”. Były też dostojne osoby, mówiące w zagranicznych językach. No i oczywiście dziennikarze.

Gdyby mama wierzyła w niebo, byłaby w niebie.

Zasiadła z synem na wygodnych fotelach i rozpoczął się spektakl. Na samym początku mama zorientowała się, że Łukaszek ukradkiem esemesuje, więc skonfiskowała mu komórkę. Zrozpaczony syn z desperacji zaczął oglądać balet i nawet mu się trochę spodobał. Wizualnie.

– Fajnie fikają – powiedział do mamy.

Mama nie słyszała. Otworzyła oczy, otworzyła uszy, otworzyła usta i chłonęła akcję całą sobą. A akcja przedstawiała się następująco:

Były sobie dwie siostry: SBalladyna (starsza) i IPeNina (młodsza). I pewnego razu do wsi, w której mieszkały, zjechał piękny, młody królówicz.

– Midam-Achnik – szepnęła mama Łukasza w ekstazie.

Królówicz nazywał się Kik-Kor. Szukał swej oblubienicy, ale kiedy zjechał do wsi z Paryża, to IPeNiny nie było w najśmielszych planach. Monopol na królówiczów miała tylko SBalladyna. Ale Kik-Korowi się nie spodobała. Szczególnie powiedziawszy – nie wyglądała tak, jak chciał. Zaproponował SBalladynie, żeby zapuściła włosy i powiększyła sobie biust. SBalladyna odmówiła – niby z jakiej racji, skoro i tak była jedyną panną na wydaniu? Ale Kik-Kor wybrał celibat, głosząc, że w sumie to on i tak to planował, bo on się ze złymi kobietami nie zadaje. A SBalladyna była zła. Wszystkich szpiegowała, o wszystkim wiedziała, a co więcej, przyłąć potrafiła albo i ukatrupić kogoś.

Kik-Kor z pozycji „ufarbuj włosy i powiększ biust” ewoluował do pozycji „idź precz, oprawco”. Skończyło się to tym, że SBalladyna straciła cierpliwość i uwięziła Kik-Kora w swoim domu. Nie na długo zresztą, bo SBalladyna podupała na zdrowiu i podpadła reszcie wioski. Kik-Kor wkrótce opuścił swoje więzienie i – co ciekawe – zaczął uspokajać wzburzony tłum. Że ta SBalladyna nie taka straszna, a w ogóle ma ładny dom i fajnie się z nią rozmawia o sztuce. SBalladyna oświadczyła, że zrzeka się wszystkich funkcji w wiosce, wycofuje się z marzeń o ślubie i w ogóle żeby się wszyscy od niej odpieprzyli.

Wkrótce pojawiła się we wsi nowa przedstawicielka płci pięknej. IPeNina, młodsza siostra SBalladyny, o wiele lat młodsza. Kik-Kor poczuł do niej miętę i zaproponował wspólne zbieranie malin. Ale w maliniaku sytuacja dojrzała na tyle, że Kik-Kor zasugerował wspólne zwiedzanie jaskini. A tam w tej jaskini z IPeNiny wyszło zwierzę i zadała Kik-Korowi cios prawie śmiertelny – zakwestionowała jego przeszłość! Że niby nie walczył z SBalladyną na poważnie, a skrycie był jej kochankiem! Zażądała dowodów, potwierdzeń, papierów! Tego Kik-Kor znieść nie mógł. Wrócił do wsi i połączył swój los z SBalladyną.

– Jak ja lubię happy endy – wzruszona mama Łukaszka ocierała łzę.

– Podobało ci się? – zapytał zde gustowany Łukaszek.

– E... Y... No, nie wiem... – kręciła mama. – Najpierw muszę przeczytać recenzję w „Wiodącym Tytule Prasowym”...

– Bo napiszesz za mnie wypracowanie – oświadczył bezczelnie Łukaszek.

– Że co? Że jak? A dlaczego ty nie możesz sam napisać?

– Nie widziałem całego baletu. Przysnąłem, jak ten Shrek poszedł ze smoczą na maliny...

KASZTANOWY LUDZIK

H iobowscy siedzieli przy obiedzie, gdy nagle do pokoju wszedł Łukaszek i zażądał zapalek.

– Są w kuchni, trzecia szuflada od dołu, druga od prawej – powiedziała mama. Łukaszek bez słowa poszedł do kuchni.

– O Boże, on pali – powiedział tragicznym głosem dziadek Łukasza.

– Niemożliwe, przecież fajki byłoby czuć na kilometr – powiedziała siostra Łukasza tonem osoby, która wie, co mówi.

– Może on nie pali fajek, tylko coś innego? Widziałem, jak znosi do domu jakieś liście – stropił się tata Łukasza. Cała rodzina zakradła się po cichu pod drzwi łukaszkowego pokoju, jedynie babcia pozostała w kuchni i dopijała rosół z pozostawionych bezpieczeństwa talerzy.

– Trzy, cztery – zakomenderował tata Łukasza i runęli na klamkę. Drzwi się otworzyły i wpadli do pokoju. Niestety, Łukaszek niczego nie palił, niczym się nie zaciągał, tylko stał z głupią miną i aparatem fotograficznym w ręku.

– Co ty robisz? – spytała zdumiona rodzina. Wokół Łukasza, na dywanie piętrzyły się stosy kasztanów, liści, zapalek, świderków i jakichś dziwnych, kasztanowo-zapałczanych konstrukcji.

– Robię kasztanowego ludzika. Co za szajs – rzekł Łukaszek z głęboką nienawiścią. – Jest ten, no... Dwudziesty pierwszy wiek, Internet, komórki, a ja się mam grzebać w kasztanach jak przedszkolak...

– Ale to jest super! – zawołała rodzina i na wyścigi zaczęła przywoływać wspomnienia własnych wyrobów z zapalek i kasztanów. Łukaszek opowiedział, że kasztany nazbierali we dwójkę z Grubym Maćkiem – ich wierny druh, okularnik z trzeciej ławki, nie robił ludzika – przyniósł papiery na dysmanualizm. No i teraz od trzech godzin siedzi sam w pokoju i usiłuje coś sklecić z tych kasztanów...

– Ależ my ci pomożemy! – zawołali wszyscy ochoczo. Każdy zagarnął naręczne materiału i sprzętu, i ruszył do siebie.

– Oj nie, no, oddajcie to! – krzyczał rozpaczliwie Łukaszek. – Wy nie wiecie, co macie zrobić!

– Kasztanowego ludzika! – odparł dziadek z błyszczącymi oczami. Członkowie rodziny już zamykali drzwi swoich pokoi.

– Ale ten ludzik ma być w pepeesie! – i ten krzyk Łukasza usłyszała tylko babcia.



Łukaszek wzruszył ramionami, włączył komputer i ponownie zaczął przy-
mierzać się aparatem do kasztanów leżących na dywanie.

Godzinę później wszyscy przynieśli swoje rękodzieła. Każdy inne.

Ludzik taty mógłby trafić do Sevres. Sylwetką wzorowany na dziele Witruwiusza, miał idealną symetrię i zakodowane w sobie liczby: pi, „e” i stałą gazową.

Nie wiadomo, jak to się stało, ale mając do dyspozycji materiały dość sztywne (kasztany i zapałki), mamie Łukasza udało się stworzyć ludzika bez kręgosłupa. Postawiony – układał się natychmiast w zależności od otoczenia.

Ludzik siostry Łukasza wzbudził zrozumiałe zainteresowanie.

– Dlaczego on ma trzy nogi? – zapytał Łukaszek.

– To nie noga, głuptasie – powiedziała ciepło siostra.

Wtedy wszyscy zauważyli, że ta środkowa noga nie kończy się kasztanem, składa się jedynie z zapałki i ludzik się na niej nie opiera, bo za dużo sterczy ku górze.

– O Boszszsz... – jęknął dziadek.

Ludzik dziadka również wzbudził zainteresowanie. Był duży i składał się z dużej liczby kasztanów.

– Co on taki gęsty? – trafnie to ujął tata.

– Bo to dwa ludziki – zauważyła siostra. – Jeden drugiego od tyłu...

– Ten drugi to koń! – przerwał jej dziadek.

– Sodomita! – krzyknęła babcia i dziadek się zdenerwował.

– Jaki sodomita! To człowiek na koniu! A jaki może być koń z kasztanów? Oczywiście Kasztanka!

– Chyba nie powiesz... – zająknęła się babcia. Ale dziadek oświadczył dumnie:

– Tak! To Piłsudski!

Nikt się nie śmiał. Tata i mama z trudem się pohamowali. Siostra i Łukaszek niczego nie zrozumieli. A babcia pokiwała tylko głową i powiedziała:

– Oj, stary, a taki... Ale byłeś blisko. W sumie Piłsudskiego też można zaliczyć. Ale wczesnego!

– Wczesnego Piłsudskiego? – zapytali wszyscy.

– No tak – i babcia postawiła swojego ludzika na stole. Wyglądał zwyczajnie, jedynie na zapałce imitującej lewą rękę widniała jakaś czerwona opaska.

– Zapomnieliście o jednym! Ten ludzik miał być w pepeesie!

I babcia pokazała na czerwonej opasce małeńkie, białe literki: PPS.

Najpierw śmiechem wybuchnęli rodzice Łukasza i dziadek. Potem przyłączyła się siostra, która, co prawda, niczego nie rozumiała, ale głupio jej było nie śmiać się, kiedy śmiali się inni. No i lubiła się śmiać. Ponowny wybuch śmiechu ogarnął wszystkich, tym razem łącznie z Łukaszką, gdy zobaczyli, że w drugiej ręce ludzik trzyma tabliczkę z napisem „Hleba!”

– Nie rozumiem, co w tym śmiesznego – babcia była wściekła, na jej policzkach pokazały się czerwone plamy. – Ludzie nie mieli co jeść...

– Nie, no, oczywiście, nam chodzi o coś innego – tłumaczył się tata Łukasza, ocierając łzy. – Nie negujemy samego postulatu... Łukasz, wytłumacz babci...

– Oj babciu! Hleb to taki piłkarz!

KAŃCUSZEK POPARCIA

Hiobowscy oglądali swój ulubiony program telewizyjny – wiadomości. Główne wydania, kilka po kolei, każde na innym kanale. Czatowali na nowe szczegóły, bo sprawa była poruszająca i bulwersująca. Znany Reżyser Filmów Przyrodniczych został oskarżony o gwałt na nieletniej przed wieloma laty.

– To w zasadzie nie był gwałt – opowiadał ekspert, juror z programu „Gwiazdy gotują na wodzie”. – To było dawno temu, daleki kraj, dzicz, pustka. Ta jedna rodzina mieszkała na samym skraju dżungli. I pewnego dnia małej dziewczynce, trzynastoletce...

– W pewnych kulturach to już dojrzała kobieta – podsunął bystrze prowadzący program.

– Co? Tak, oczywiście... Trzynastoletnia kobieta. pewnego razu okazało się, że jej weszła bardzo jadowita mrówka!

– Gdzie jej weszła?

– No... Do pochwy – bąknął czerwieniąc się juror. – I ona przyszła do niego po pomoc! Co on miał zrobić?! Jak ją ratować?! Jak tą mrówkę wyjąć?! Przypominam, tu chodziło o życie!

– I co on zrobił?

– Jak to co? Rozgniółł penisem!

W studiu zapadła martwa cisza. Ktoś z publiczności nerwowo zachichotał.

– Gdzie? – zapytał słabym głosem prowadzący.

– No w środku, mówię przecież! – zirytował się ekspert. – Chciałbym jednak nadmienić, że to wszystko odbyło się za zgodą samej zainteresowanej, jak też i jej rodziny! I teraz ta niby poszkodowana nie zgłasza żadnych pretensji, co więcej, jest wdzięczna za ocalenie życia! O jakim więc przestępstwie mówimy!

W następnych wiadomościach rozpoczęto od sondy ulicznej. Na żywo, co było dużym błędem.

– Co pani sądzi o dorosłym mężczyźnie współżycjącym seksualnie z trzynastoletką? – zapytał reporter jakąś bladą panią.

– Utopić drania!

– Ale to jest Znany Reżyser Filmów Przyrodniczych – wytłumaczył jej łagodnie reporter.

– Ach, no nie, no – zachnęła się blada pani. – Przecież to reżyser przez duże „R”! Oczywiście jest niewinny! To ta młoda pindzia na pewno sama na niego poleciała!

Potem był wywiad z Innym Znanym Reżyserem, który zorganizował poparcie dla Znanego Reżysera. Wielu Znanych Polaków podpisało list w jego obronie.

– Oczywiście, że jest on niewinny – dowodził z całym spokojem Inny Znany Reżyser. – Winna jest oczywiście tamta dziew... kobieta. Przecież to dżungla.

Baby na golasa, chłopcy na golasa. Jak jej ta mrówka tam weszła? No, musiała latać bez majtek. Tylko nieletnie prostytutki tak robią!

Kolejne wiadomości rozpoczęły się pół godziny później od gorącego newsa – jakiś bloger przetłumaczył wypowiedź Innego Znanego Reżysera i wysłał mailem do ofiary gwałtu. Ta poczuła się urażona i zapowiedziała, że wniesie sprawę do sądu.

– To jest szczyt szczytów – oburzał się Jeszcze Jeden Znany Reżyser. – Już montujemy poparcie dla Innego Znanego Reżysera. Podpiszemy list w jego obronie. Nie może być tak, żeby Polak kapował na Polaka, a jakaś stara pipa ciągała go po sądach!

Następne wiadomości zaczęły się także mocnym uderzeniem. Kolejny bloger przetłumaczył słowa Jeszcze Jednego Znanego Reżysera i również podesłał ofierze gwałtu. Ofiara zapowiedziała, że tego pana też pozwie.

– To jest straszne – Mniej Znany Reżyser ocierał nerwowo pot z czoła. – Proszę państwa, robi się jakaś chora sytuacja, nagonka, kula śnieżna. Te donosy. Kto to robi? Po co? Zastanówmy się, co to jest donos.

– To coś wstrętnego, zwierzęcego, jaskiniowego i antysemitckiego – wyrecytowała płynnie mama Łukaszka słowo w słowo z Mniej Znany Reżyserem.

– Mamy jeszcze jedną informację od blogera – zaczął prowadzący.

– Nie! – mama Łukaszka zerwała się na równe nogi i zaczęła histerycznie krzyczeć. – Nie! Skończcie z tymi donosami! To takie nieeuropejskie!

– ... otóż pisze do nas bloger z Nowej Zelandii, że w jednej z tamtejszych gazet określono byłego naczelnego „Wiodącego Tytułu Prasowego”, Midama-Achnika, mianem agenta.

– Aaaa! – rozpaczła mama ugodzona w mentalne żywe mięso. – To okropne! Jak on mógł!

– Wstrętny donosiciel! – zawtórował jej tata.

– Nie on! Dzięki niemu dowiedzieliśmy się o tym podłym antysemitcie, który podniósł rękę na Midama-Achnika! Mam nadzieję, że mu wytoczą sprawiedliwy proces, na którym straci wszystko, co ma! Nędzna kreatura szkalująca autorytety! Na szczęście są jeszcze bezinteresowni i szlachetni ludzie gotowi reagować w obliczu niesprawiedliwości!

I mama, nie mogąc się nadal uspokoić, podążyła do swojego pokoju. Tam, dla ukojenia nerwów, pobawiła się swoim najnowszym nabytkiem. Zbieraną przez wiele tygodni kolekcją, dodawaną do egzemplarzy „Wiodącego Tytułu Prasowego”. Były to figurki typu „Action Man”, przedstawiające cały poczet byłej i obecnej redakcji „WTP”.

Ozdobą kolekcji był Midam-Achnik.

Z mieczem Jedi.

AKCJE WRZEŚNIOWE W KLASIE CZWARTEJ



orośli nawet nie zauważyli regularnych nieobecności Łukasza w domu. I tak większość czasu spędzał przed blokiem. Ale w końcu ktoś zobaczył, że któregoś wieczora, na początku września, Łusaszek dokładnie czyści tornister.

– No tak, szkoła! – Hiobowscy się ocknęli i zarzucili najmłodszego członka rodziny gradem pytań.

– Nie... Nic się nie zmieniło... No tak, nie trzecia klasa, tylko czwarta...

– Jak ty dbasz o swoje przybory szkolne – zachwyciła się babcia Łukasza.

– E... No bo... Mamy mieć święcenie tornistrów....

– Przecież ty masz zeszłoroczny tornister! – zdumienie taty Łukasza nie miało granic.

– No tak, ale święcenie jest obowiązkowe... – bąkał Łusaszek. Hiobowscy uznali, że to dziwne i należy wysłać kogoś z dorosłych, aby rzecz wyjaśnić. Ale kiedy Łusaszek podał termin, okazało się, że jedyna osoba, której pasuje wizyta w szkole, to dziadek.

– Nie, no, on jest bardziej papieski od niejednego biskupa, jeszcze zażąda święcenia strojów od WF – powiedziała z sarkazmem babcia. I powiedziała, że ona przełoży wizytę u lekarza i pójdzie.

W zimne wrześniowe przedpołudnie przed szkołą zgromadził się spory tłum. Babcia chciała coś wyjaśniać, ale nie było z kim. Protestować, ale jej głos ginął w tłumie. W końcu zrezygnowała i wycofała się z wnukiem pod płot.

Dzieci próbowano ustawić w rzędach, ale boisko okazało się za krótkie. Bądź co bądź zgromadzono wszystkie klasy z wszystkich roczników. Dyrektor próbował dyrygować masami ludzkimi i jakoś je sensownie rozdzielić, ale się nie dało. Wszyscy poustawiali się, jak chcieli.

– Nie będziemy pchać się w ten oczadziały klerykalizmem tłum – powiedziała z godnością babcia Łukasza i przytrzymała wnuka za ramiona.

– Słusznie pani robi – odezwała się obok inna pani, tuląca do siebie okularnika z trzeciej ławki. Jak się okazało – była to jego mama. Obie panie wymienili parę uwag odnośnie do pazerności kleru i jego ingerowania w oświatę świeckiego państwa oraz ulegania przez ludzi instynktom stadnym.

– A gdzie Gruby Maciek? – zapytał okularnik.

– Matka wypchnęła go do przodu, bo chcą popatrzeć na biskupa – odpowiedział Łusaszek.

Mama okularnika zastrzygła uszami i popchnęła syna nieznacznie do przodu. A tam już się zaczęło poruszenie, bo biskup się pojawił i już święcił.

Mama okularnika wyciągnęła szyję, wzrok wbiła w dal i pchając przed siebie syna, zaczęła wypychać się w tłum.

Babci skoczyła brew.

- Mówiła przecież pani, że... – zwróciła się z pretensją do mamy okularnika.
- No tak, wie pani, ale jednak to biskup!

Babcia zacisnęła wargi i popchnęła Łukasza. Mama okularnika spojrzała na nią wrogo i zwiększyła wysiłek przebijania się przez tłum. Rozpoczął się niemy wyścig, który zakończył się na pierwszej linii czekających, obok Grubego Maćka.

- Cześć chłopaki – wymamrotał zażenowany Gruby Maciek.
- Cześć – odmamrotali zażenowani Łusaszek i okularnik.

Nadszedł biskup z orszakiem. Jeden z tyłu niósł wielką misę, a biskup co pewien czas maczał w niej kropidło i ekspediował wodę święconą w tłum. Wreszcie dotarł przed Łukasza i jego kolegów. Chłopcy wyciągnęli tornistry, biskup pomachał kropidłem, ale w ich stronę poleciało tylko parę kropelek. Orszak przystanął, a biskup przymierzył się ponownie z kropidłem do misy.

– Najmocniej przepraszam... – rozległ się słodki głos. Biskup obejrzał się zaskoczony. Z drugiego rzędu zamachała do niego mama okularnika. – Dla naszych dzieci to taka ekscytująca chwila... Tak czekały... A księdzu biskupowi akurat się skończyła woda święcona... A mój mały tak marzył, że jego tornisterek zostanie pokropiony... Więc mam małą prośbę.... Ehehe... Jakby tak ksiądz biskup raczył poprawić...

Zapadła cisza. Biskup popatrzył na chłopaków, chłopaki na niego i mieli wrażenie, jakby też patrzyli na chłopaka w ich wieku. Nawet zdawało im się, że do nich mrugnął.

- Mogę poprawić – powiedział biskup. – Szykujcie tornistry.

Podciągnął rękaw i starannie, długo maczał kropidło. Wreszcie skończył i stanął przed nimi. Łusaszek, Gruby Maciek i okularnik od razu pojęli, o co chodzi, i zasłonili twarze tornistrami. Biskup wziął solidny zamach i machnął energicznie kropidłem. Rozległo się głośnie, mokre chłasknięcie. Chłopcy ostrożnie opuścili tornistry. Okazało się, że zostały teraz solidnie pokropione, ale i tak główny impet poszedł na mamę okularnika. Konkretnie – na jej twarz. I włosy.

Biskup spojrzał zadowolony na kropidło i zapytał skromnie:

- Teraz pasuje?

KUSZENIE PANA SITKO

CZĘŚĆ TRZECIA

Państwo Sitko wybrali się wreszcie na wielki pokaz sztuk magicznych.

– Cała ta magia to... – wyraził swoją opinię (niezbyt przychylną) pan Sitko. Być może wpływ na jego przychylność miało to, że żona kazała mu założyć garnitur, po raz pierwszy od ośmiu lat.

– Nie marudź stary! Od lat nigdzie nie wychodzimy, chyba że do sklepu... – i pani Sitko rozpoczęła swój monolog. Pan Sitko wznosił oczy ku sufitowi, ale nic to nie pomogło. Jego małżonka kontynuowała monolog pod blokiem, w tramwaju, a nawet w teatrze. Zamilkła dopiero, gdy zajmowali już miejsca. Sąsiedzi patrzyli na pana Sitko ze współczuciem.

Światła przygasły, rozsunęła się kurtyna. Na scenie pojawiły się cztery postacie. Pierwszą był mężczyzna, który siedział w fotelu. Jego pan Sitko znał



z parku. Druga – to był teatralny konferansjer. Jego pan Sitko znał z telewizji. Pozostałych dwóch nie znał. Trzeci był niski, pękaty, kudłaty, o śmiesznej twarzy, przypominał odpasionego kocura. Czwarty był jego przeciwieństwem. Chudy, wysoki, w okularach, elegancki strój wisiał na nim jak na wieszaku.

– Witamy państwa serdecznie! – powitał wszystkich konferansjer. – Na początek może dowcip, żeby wszystkich wprowadzić w dobry nastrój! Prezydent jest mały i mu wali z ust!

I zaczął się śmiać, ale nikt mu nie zawtórował.

– No co jest, ten dowcip zawsze skutkował – zamruczał konferansjer.

– Hej, ludzie co zrobić z tym nudziarzem? – zawołał kotowaty.

Cisza.

– Może mu głowę urwać? – zaproponował chudy wysoki.

Cisza.

– E tam, tacy są niezniszczalni, pewno ma tę robotę po znajomości i nic go z niej nie wywali... – odezwał się ktoś z widowni. A inny zaproponował:

– Niech stąd znika i to szybko!

– Słyszałeś? Znikaj stąd! – zawołał kotowaty. Pstryknął palcami i konferansjer zniknął. To znaczy, zrobił się niewidzialny, bo nadal było słychać jego głos:

– Moje ciało! Oddajcie mi moje ciało!

Głos się oddalał aż zniknął za kulisami.

– Nadal uważasz, że magia to bzdura? – zapytała pani Sitko.

– Nadal tak uważam – odparł stanowczo pan Sitko.

Człowiek siedzący w fotelu obrócił głowę i strzelił w pana Sitko swoim spojrzeniem, ale pan Sitko je wytrzymał.

– A teraz, skoro już pozbyliśmy się tego nudziarza, zaczynamy show! – krzyknął chudy wysoki. Publika zawyła z radości, ale na razie nic się nie działo.

– Taaak... – odezwał się przeciągle człowiek siedzący w fotelu. – Ludzie nadal są ludźmi. Zły wpływ ma na nich telewizja i cała ta...

– Propaganda – odpowiedział usłużnie chudy wysoki.

– Tak. Ale czy się zmienili?

– To najważniejsze pytanie – potwierdził kotowaty.

Ludzie siedzieli kompletnie zaskoczeni.

– Ale my tu gadu gadu, a publiczność się nudzi. Bądź tak miły, Klarnecie – odezwał się człowiek w fotelu do chudego wysokiego – i pokaż na początek coś prostego.

NOWE REGUŁY MECZU



telewizji pokazywano mecz drużyny piłki nożnej z miasta Hiobowskich.

– Oglądamy! – zapalili się tata i dziadek.

– E tam, wolę popykać w „Automasakrę” – mruknął Łukaszek.

– Żadnego grania! Lekcje odrabiać! – krzyknęły mama i babcia.

– ...Mecz! Ale jest mecz! – Łukaszek palnął się w głowę i, śmiejąc się bezczelnie, uciekł do dużego pokoju. Tam zasiadł na kanapie pomiędzy tatą a dziadkiem. Rozjaśnił się ekran telewizora i rozpoczęło się spotkanie.

– Przecież co tydzień dają mecz, albo i częściej – zauważyła mama Łukaszka. – Co tak was nagle zainteresował akurat ten.

– Bo zmieniają reguły – wyjaśnił tata Łukaszka.

– Jak?

– No tego właśnie nikt nie wie – wtrącił się dziadek. – Obejrzymy mecz, to się dowiemy.

Panie wycofały się do kuchni, ale okazało się, że zajęła już ją siostra Łukaszka.

– Co ty tu robisz? – zdumiała się babcia. – Obiad już był, a...

Siostra wyjaśniła, że chce sama ugotować obiad. Dla swojego chłopaka.

Mama najpierw podtrzymała mdlejącą babcię, a potem wsunęła jej nitro pod język.

– Nigdy! W życiu! – darła się babcia Łukaszka. – Ona nas spali! Wysadzi mieszkanie! Nie pozwól jej zbliżyć się do kuchenki!

– Mamo, bądź tolerancyjna – powiedziała siostra Łukaszka i tym samym sprawa została przesądzona. Mama Łukaszka pokazała jej, jak się obsługuje kuchenkę, gdzie są naczynia, i zostawiła siostrę samą wraz z jej torbą składników.

– Oszałałaś – chrypiała rozbita psychicznie babcia Łukaszka.

– Kuchnia zajęta, chodźmy popatrzeć na ten mecz – zaproponowała mama Łukaszka.

– Ty naprawdę oszałałaś!

Jednak z braku alternatywy poszły do pokoju i zasiadły skromnie w kącie, patrząc na ekran w milczeniu. Panowie pozwolili im zostać pod jednym warunkiem – absolutny zakaz odzywania się podczas meczu.

– I co z tą zmianą? – złamała zakaz babcia Łukaszka.

– Hm... No, ja nic nie widzę... – przyznał się dziadek. – Myślę, że dołożą ósmego arbitra.

– Dopuszczają zapis wideo do sprawdzania sytuacji podczas meczu – sprzeciwił się tata.

– Zmieniają zasady spalonego – gorączkował się Łukaszek.

Niestety, żadna z ich teorii się nie sprawdziła. Próbowali zgadywać dalej, ale bez pozytywnego rezultatu.

– I co z tą zmianą? – zapytała mama Łukasza, kiedy mecz już się skończył.
– No właśnie... – rzekł niepewnie tata Łukasza, patrząc na pozostałych.
Na szczęście sytuację uratował komentator telewizyjny:

– A teraz proszę państwa zapowiadana zmiana! W meczu drużyny A z drużyną B wygrała drużyna A wynikiem dwa do zera... Przez cały mecz prowadzony był sondaż oraz głosowanie esemesami i... Zamykamy głosowanie... Mam już wyniki... Patrę na słupki... Według sondażu wygrała drużyna B i to jej zostaną przyznane trzy punkty!

Łukaszek, tata i dziadek siedzieli jak rażeni gromem i patrzyli na siebie w kompletnym osłupieniu.

– To teraz sondaż ma decydować o wyniku meczu? – wyjąkał dziadek.

– Co tak wali z kuchni? – zapytał Łukaszek.

Mama poruszyła niespokojnie nosem – dopiero teraz zdała sobie sprawę, że od dłuższego czasu dobija się do niego jakiś niepokojący zapach.

– Spaliła nas! – zawyła histerycznie babcia Łukasza.

Wszyscy runęli do kuchni. A tam, przy stole stała siostra Łukasza i z dziwną miną pochylała się nad źródłem zapachu – największą brytfanną, jaka była w domu.

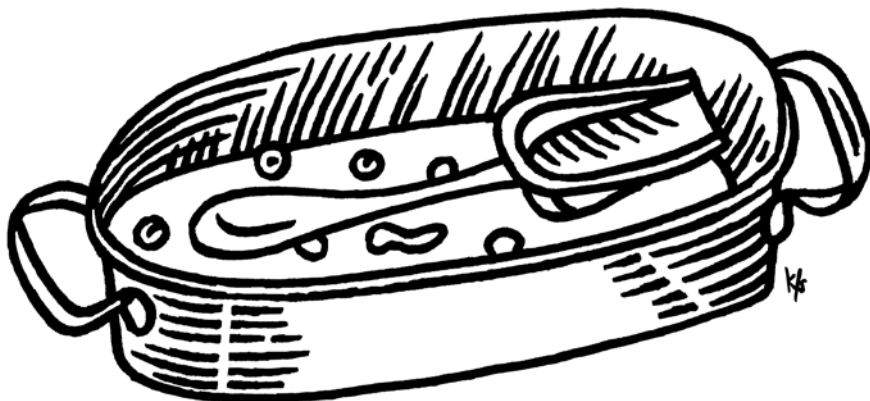
– Chyba mi coś nie wyszło – wystękała zakłopotana.

– A co to miałoby być? – zapytała ostro babcia.

– Łopatka w warzywach...

Mama jednym szybkim ruchem usunęła pokrywkę. Wewnątrz, na warstwie warzyw leżała łopatka.

Plastikowa, taka do zabawy w piasku.



ZDRADZONA TOURNEE



zisiaj, drogie dzieci... – zaczęła młoda pani od polskiego i nie dokończyła. Do klasy weszła pani pedagog.

– Dzisiaj, drogie dzieci, będziecie mieć gościa – powiedziała serdecznie.

– Może najpierw „dzień dobry” – odezwała się od swojego biurka lekko nadąsana młoda pani od polskiego.

– Dzień dobry! Prosimy panią! – zawołała pani pedagog.

Do klasy weszła pani gość.

– Pani przybyła na zaproszenie nowo powstałego Szkolnego Koła Feministycznego – kontynuowała pani pedagog. – Odwiedza wszystkie szkoły w naszym mieście po kolei. Opowie nam, jak podle zdradził ją samiec!

– Że znaczy, że pies? – wyrwał się okularnik z trzeciej ławki.

– Facet! – sprostowała gniewnie pani pedagog.

– Facet to mężczyzna, a nie samiec – upierał się okularnik.

– Milcz, gówniarzu – poprosiła uprzejmie pani pedagog. – Bardzo panią proszę.

I pani gość zaczęła snuć swoją opowieść, jak to podle ją omotał podły samiec. Piastowała wtedy bardzo ważne stanowisko...

– Piastuje to się buty. Piastą – przerwał jej okularnik, który miał papiery na ADHD i chyba tego dnia był jego dzień.

– Piast to był król, ty idioto – poprawił go uprzejmie Łukaszek.

– I w ogóle się zamknij, ty nędzna fiucino – doradził mu życzliwie Gruby Maciek.

– Cisza!!! – ryknęła pani pedagog i trzasnęła dziennikiem w stół tak mocno, że aż się młodej pani od polskiego kawa wylała na spodek.

Pani gość nabrała dużego oddechu i kontynuowała.

...I kwiaty przynosił, i na dyskoteki zapraszał, i były tańce do białego rana, i kęs kawioru, i łyk szampana...

– Co to jest kawior? – zapytał okularnik.

– Jajka rybie, ty głupku – wyjaśnił mu Gruby Maciek.

– Ryby nie mają jaj – zaoponował okularnik. – Wkręcasz mnie, ty gruba świniol!

I się pobili.

– Czy ja mogę mówić dalej? – pani gość jakby się lekko obraziła. I snuła swą opowieść, jak to podły podlec ją motał. I prezenty dawał, i po włosach całował, a potem do grzechu namówił.

– Seks? – zapytała drżącym głosem dziewczynka, która (prawie) zawsze odzywała się jako pierwsza.

– Też – powiedziała pani gość i zaczęła płakać. – Wiersze recytował!

– Podczas seksu? – zapytał Łukaszek i dostał naganę od pani pedagog, z wpisem do dzienniczka.

– Rozbierała się pani do goła? Przy obcym? Bleeeee – i dziewczynkę, która odzywała się jako pierwsza, aż wstrząsnęło z obrzydzenia.

– A robiła pani...? – i Gruby Maciek zapytał o coś bardzo zaawansowanego, bo młoda pani od polskiego i pani gość splonęły rumieńcem. Pani pedagog nie splonęła, za to Gruby Maciek dostał od niej naganę z wpisem do dziennika.

– Tak... – wykrztusiła pani gość.

– Umyła pani potem ręce? – zapytał surowo okularnik z trzeciej ławki.

Pani pedagog chciała wpisać kolejną uwagę, ale zdała sobie sprawę, że w tym przypadku to droga donikąd.

– Drogie dzieci – powiedziała, uśmiechając się serdecznie. Dzieci na ten widok struchlały. – Nie to jest ważne. Ważny jest morał. Proszę.

I zachęcona pani gość kontynuowała. Otóż grzech, do którego popełnienia została namówiona, dotyczył spraw korupcyjno-finansowych, zdradzenia sekretów, ustawienia przekrętów. A najgorsze było to, że kiedy już go popełniła, to jej luby okazał się policjantem i ją aresztował.

– Chwddp! – krzyknął odruchowo okularnik i zarobił karczycho od Grubego Maćka.

– Pomyśl choć raz – poprosił go Gruby Maciek.

– Ale o czym? – okularnik był tak zaskoczony, że nawet zapomniał się pobić.

– Pani była na ważnym stanowisku, tak? – zadał (pozornie) niewinne pytanie Łukaszek.

– Hiobowski, cisza! – krzyczały razem młoda pani od polskiego i pani pedagog. Dostrzegały nadciągającą katastrofę.

– Tak – siąknęła nosem pani gość, która katastrofy nie dostrzegała.

– Hm. I pani się ten facet spodobał, tak?

– Tak.

– I pani dla niego zrobiła oszustwo?

– Tak. Ale...

– No tak – Łukaszek wstał i gestem Humphreya Bogarta wskazał panią gość – Takie są laski. Po prostu. Ważne stanowisko i wszystko mu wypaplała, i jeszcze oszukała. Bo jej kupił kwiaty i pokazał jajka!

Zapadła cisza, zakłócona odgłosem krztuszenia się młodej pani od polskiego.

– Rybie jajka – podpowiedział mu Gruby Maciek.

– Ryba nie ma jajek, widziałem, ma płetwy – upierał się okularnik.

– Bo pokazał jajka rybie! – pogubił się trochę Łukaszek. – Przecież to mógł być agent. Szpieg. Terrorysta – tłumaczył pani gość jak dziecku. – A pani za parę kwiatków... Wszystkie sekrety... Nie, laski do niczego poważnego się nie nadają...

Wybuchła straszna awantura. Żeńska połowa klasy czwartej a rzuciła się na Łukaszka z paznokciami.

– Nie, stójcie... – powstrzymała je pani gość. Jej oczy wypełniły łzy, które się przelały i obficie popłynęły na twarz.

– Widzicie? Pani płacze przez was – zaatakowała młoda pani od polskiego. – Pocieszcie ją teraz jakoś!

Do gościa podeszła osoba, po której można było się tego najmniej spodziewać. Otóż najwięcej empatii wykrzesał z siebie największy w klasie, czyli Gruby Maciek. Zbliżył się powoli do płaczącej, położył jej rękę na ramieniu. Ona spojrzała w jego oczy, a on w jej. Gruby Maciek poruszył swój ulubiony temat i zadudnił ciepło:

– Przynajmniej pani stara pani nie wyskrobała!

WOŻNY NA WYLOCIE



szkole, do której chodził Łukaszek, doszło do dramatycznych zdarzeń. Otóż jeden z panów woźnych zawiódł pokładane w nim zaufanie.

– Czy to prawda? – pytali zdenerwowani rodzice na specjalnym spotkaniu z dyrekcją szkoły.

– Nie – odparł pewny siebie dyrektor.

– „Wiodący Tytuł Prasowy” informuje, że woźny, zamiast chronić szkołę przed dilerami, paktował z nimi! – zagrziała mama Łukasza.

– To nieprawda – oponował dyrektor, ale już z mniejszą pewnością siebie.

Następnego dnia po spotkaniu miejskie gazety opublikowały historię woźnego. Był też sondaż. Na pytanie, czy należy go zwolnić, większość ankietowanych odpowiedziała „tak”.

– Pan dyrektor zwolnił woźnego – młoda pani od polskiego poinformowała czwartą a podczas lekcji wychowawczej.

– Czemu? Za te narkotyki? – zainteresowała się dziewczynka, która zawsze odzywała się jako pierwsza.

– Nie. Utracił zaufanie społeczne – powiedziała z emfazą młoda pani.

– To za to się zwalnia? – zdumiał się okularnik z trzeciej ławki.

– No, ale handlował tymi prochami czy nie? – dopytywał się Łukaszek.

– Wy nie rozumiecie świata dorosłych. To nieistotne – powiedziała po-błażliwie pani.

– Ale handlował?

– Nie denerwujcie mnie!

– Kiedyś pani też utraci zaufanie społeczne i wyleci stąd – uderzył w kassandryczny ton Gruby Maciek i stało się. Zdenerwował młodą panią i zrobiła im kartkówkę.

Ze znaków zodiaku wszystkich premierów po tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym dziewiątym roku.

Ale w gazetach temat nie ucichł. Co więcej, sugerowano, że może kolejny woźny...

Pan dyrektor zwołał konferencję prasową.

– Mam pełne zaufanie do wszystkich swoich woźnych. Dlatego zwolniłem wszystkich. Chcę też jak najszybciej wyjaśnić całą sprawę. Dlatego ucznia podejrzanego o handel narkotykami kazałem natychmiast wydalić ze szkoły.

Dziennikarze w zdumieniu słuchali komunikatu dyrektora, ale mówił to z takim przekonaniem, że ich też przekonał.

Pod szkołą stał woźny, od którego cała sprawa się zaczęła. Z ponurą miną czytał gazetę „To, Co Jest”. Był tam o nim artykuł pod tytułem: „Boże! Przez niego uczniowie mogli umrzeć!! Wszyscy umrą!!!” Był tam także sondaż, co należałoby z woźnym zrobić. Na pierwszym miejscu było „rozedrzeć końmi na czworo”.

– Niech się pan nie przejmuj – pocieszyli go dziennikarze. – W kodeksie karnym sondaże nie obowiązują!

Woźny uśmiechnął się blade i bąknął: – Jeszcze nie...

SPIS TREŚCI

1. Ćwierćkolonie, część 1	4
2. Ćwierćkolonie, część 2	7
3. Ćwierćkolonie, część 3	9
4. Ćwierćkolonie, część 4	11
5. Ćwierćkolonie, część 5	13
6. Wakacyjny weekend, część 1	15
7. Ćwierćkolonie, część 6	18
8. Ćwierćkolonie, część 7	20
9. Ćwierćkolonie, część 8	22
10. Wakacyjny weekend, część 2	24
11. Ćwierćkolonie, część 9	26
12. Powstanie Warszawskie i teraźniejszość	28
13. Wakacyjne wyjazdy, część 1	31
14. Wakacyjne wyjazdy, część 2	33
15. Wakacyjne wyjazdy, część 3	35
16. Wakacyjne wyjazdy, część 4	36
17. Wakacyjne wyjazdy, część 5, ostatnia	37
18. Bazar fajters, część 1	39
19. Siostra, koncert i koleżanki	41
20. Rocznicą pewnego paktu	44
21. Równi faceci	46
22. Ćwierćkolonie, część 10, ostatnia	48
23. Wakacyjny weekend, część 3, ostatnia	50
24. Szkoła i rocznice	52
25. Koncert na rozpoczęcie roku szkolnego	56
26. Bazar fajters, część 2, ostatnia	58
27. Lektury i inne bzdury	60
28. Szpieżka	62
29. Nowy serial „Napiętnowany”	64
30. Odsiecz wiedeńska	66
31. Łaska pańska na pstrym koniu	67
32. Spotkanie z Wielkim Człowiekiem	69
33. Uchwała na 17 września	71
34. Kuszenie pana Sitko, część pierwsza	73
35. Kuszenie pana Sitko, część druga	75
36. SBalladyna, część pierwsza	77
37. „SBalladyna”, część druga, ostatnia	78
38. Kasztanowy ludzik	80
39. Łańcuszek poparcia	82
40. Akcje wrześniowe w klasie czwartej	84
41. Kuszenie pana Sitko, część trzecia	86
42. Nowe reguły meczu	88
43. Zdradzona tournée	90
44. Woźny na wylocie	93